

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 16 CZERWCA 1928 ROKU

NR 25

TREŚĆ NUMERU: Dola pracowników umysłowych — *Natalja Jastrzębska*. Sport, a instynkt walki — *W. Prądmowska*. Zanim klamka zapadnie — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Liryki” — *Gabryel Karński*. W starym lustrze — *Bronisława Ostrowska*. Kryształowa kula (c. d.) — *Max Wit*. Dramat za ścianą — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Z książek — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* „Ewa” — *Edwarda Wittiga*. Kobieta w świecie i w domu — *S. P. O.* i *Z. M.* List z Paryża — *M.* Kobiety na II Zjeździe naukowej organizacji — *Jadwiga Krawczyńska*. Zdobienie balkonów roślinami — *Stan. Schönfeld*. Czwarty zjazd czeskich gospodyń — *Pani Elżbieta*. Serwety i obrusiki — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Wzorzyste muśliny — *Well*. Parę kompletów sportowych. Dodatek powieściowy: „Jej grzech” — *Edna Bryner* (dok.) tłum. *Hat*. Arkusz wzorów.

## DOLA PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH

*wzięta w obronę przez polkę na terenie międzynarodowych obrad Konferencji Pracy w Genewie.  
(wywiad specjalny „Bluszczu” z posłanką p. Eugenją Waśniewską)*

Ruchliwy i zajmujący się intensywnie wszystkimi zagadnieniami współczesnego życia społecznego „Związek obywatelskiej pracy kobiet” zorganizował w ostatnich dniach maja odczyt posłanki, p. Eugenji Waśniewskiej, p. t. „Międzynarodowa organizacja pracy i stosunek do niej pracowników umysłowych.”

P. Waśniewska, zajmująca się już od szeregu lat sprawą organizacji pracy w Polsce, jest poważnym autorytetem w tym kierunku, skreśliła też w swym niezmiernie interesującym wykładzie historję międzynarodowego rozwoju tego ruchu.

Rozpoczął się on jeszcze przed wojną, z chwilą zaś zawarcia pokoju został uregulowany i otrzymał sankcję Traktatu Wersalskiego, którego rozdział XIII poświęcony został sprawom międzynarodowej organizacji pracy.

Jest to kwestja pierwszorzędnej wagi dla świata pracowniczego. Organizacja pracy obejmuje bowiem całokształt jej warunków, a więc: sprawę płac, długości pracy, wszelkiego rodzaju ubezpieczeń, ochrony od wypadków, leczenia, zapomóg, urlopów, emerytur, obrony przed wyzyskiem; sprawę ochrony macierzyństwa, pracy kobiet, używania do pracy nieletnich i dzieci i t. p., i t. p.

Międzynarodowa organizacja pracy, powstała w r. 1910, jest instytucją wszechświatową, w której bierze udział 57 państw wszystkich części świata. To znaczy wszystkie prawie państwa cywilizowane, z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i Rosji Sowieckiej. Stany Zjednoczone nie przytysały

do konwencji z tych samych powodów, z których nie wzięły udziału w Lidze Narodów — samowystarczalności własnej; rządu Sowieców poprostu nie chciano.

Ciałem ustawodawczym organizacji jest doroczna „Konferencja Pracy”, która odbywa się od r. 1919, a od kilku już lat stale w Genewie. Tam dyskutują się i zapadają uchwały, przyjmowane następnie przez poszczególne kraje, które wysyłają na zebrania Konferencji swych delegatów. Każda delegacja składa się z przedstawicieli rządu, pracodawców i pracowników oraz z szeregu przydzielonych im ekspertów.

Organem wykonawczym Konferencji jest „Biuro Organizacji Pracy” z siedzibą stałą w Genewie; organem zwierzchnim Biura jest „Rada Administracyjna”, złożona z 24 delegatów różnych państw, wybranych przez Konferencję. Polska ma w tej chwili swego przedstawiciela w Radzie w osobie p. ministra Franciszka Sokala. Przewodniczącym Rady jest francuz, p. Artur Fontaine; dyrektorem biura — b. minister francuski, znany dobrze w Polsce, polityk i organizator, powaga w sprawach pracowniczych — p. Albert Thomas, wielki przyjaciel polaków, który w r. b. bawił czas dłuższy w Warszawie.

Powaga i prace tej instytucji, regulującej życie pracownicze, wydały już poważne owoce. Wszystkie państwa, biorące udział w Konferencji, ratyfikują potem większość jej uchwał. Polska, np., ratyfikowała ich 54 procent.

Naturalnie, istnieją uchwały specjalne, które mogą nie nadawać się do lokalnych warunków, lub np.

dany rodzaj pracy czy pracowników w tym kraju nie istnieje i dlatego są one zbyteczne.

Pomimo tych wybitnych rezultatów prac Konferencji, istniała w nich poważna luka, mianowicie—sprawa pracowników umysłowych.

W chwili organizowania się Konferencji najpoważniejszymi grupami pracowniczymi były: organizacja socjalistyczna, t. zw. międzynarodówka amsterdamska, i organizacja chrześcijańsko-demokratyczna Utrechcka.

Z przedstawicielami więc tych dwóch organizacji weszli w kontakt organizatorzy Konferencji. Pracownicy umysłowi byli wtedy tak słabo zorganizowani, że nie wzięto ich wcale pod uwagę, jako oddzielnej grupy.

Tymczasem warunki tych pracowników są zawsze zupełnie różne od warunków pracowników fizycznych, i, pomimo najszczerzej chęci, organizacje robotnicze nie są w stanie znać tych warunków i zapewnić należytych praw pracownikom umysłowym. Tembardziej, że różne kraje najrozmaiciej dzielą tych pracowników. U nas, np., za pracownika umysłowego uważany jest majster fabryczny i ekspedjentka sklepową, podczas gdy we Francji zaliczają się oni do pracowników fizycznych, a kategorie pracowników umysłowych stanowią tylko wolne zawody: lekarze, adwokaci, inżynierowie i „twórcy”—artyści, literaci, wynalazcy i t. p.

Możemy doprawdy być dumni, że ta niesłychanie ważna sprawa obrony praw kwiatu inteligencji—pracowników umysłowych—podjęta została w Polsce i podjęta przez kobietę, posłankę p. Eugenję Waśniewską.

W referacie swym p. Waśniewska w kilku słowach tylko zaznaczyła, że podczas odbytego w r. ub. Zjazdu Centralnej organizacji Związków pracowników umysłowych polskich poruszyła sprawę uzyskania w delegacji polskiej miejsca dla przedstawiciela pracowników umysłowych. Starania, podjęte u p. ministra pracy i opieki społecznej, zakończyły się nominacją p. Waśniewskiej, przydzielonej w charakterze ekspertki do delegacji oficjalnej polskiej na zeszłoroczną międzynarodową Konferencję pracy w Genewie. Podczas swego tam pobytu p. Waśniewska wniosła interpelację w sprawie przedstawicielstwa pracowników umysłowych na obrady Konferencji.

Pragnąc uzyskać nieco więcej szczegółów w tej sprawie, zwróciłam się do pani posłanki z prośbą o wywiad specjalny dla „Bluszczu”, którego mi p. Waśniewska najuprzejmiej udzieliła, pomimo bardzo ograniczonego czasu—tego samego bowiem dnia wyjeżdżała do Genewy na tegoroczną Konferencję, na którą otrzymała powtórna nominację.

— A więc—zapytuję—to pani właściwie sprawiła, iż Konferencja zajęła się sprawą oddzielnego przedstawicielstwa pracowników umysłowych?



Posłanka Eugenia Waśniewska

— Tak się jakoś dobrze złożyło—odpowiada ze skromnym uśmiechem p. Waśniewska.—Konfederacja pracowników umysłowych, instytucja międzynarodowa, posiadająca swoją grupę i w Polsce, również o tem myślała. W Genewie jednak te sprawy nie idą tak łatwo. Już zasadniczo rzecz jest trudna, gdyż Traktat Wersalski nie wspomina o pracownikach umysłowych, a zmieniać go przecież niepodobna. Możliwe jednak — i zaznaczył to podczas wspólnych naszych narad w Warszawie dyrektor Biura Organizacji, p. Albert Thomas—zmienić układ Biura. Trudność leży w tem, że pracownicy umysłowi nie są na terenie Konferencji siłą. Przeważne wpływy posiadają tam trzy grupy: dyplomatyczna—przedstawiciele rządów, przedstawiciele pracodawców—i socjalistyczna grupa amsterdamska. Ta wprawdzie oświadcza, że troszczy się o pracowników bez różnicy zawodu, ale, jak to już zaznaczyłam w swym odczycie, niema mowy, aby mogła w pełni reprezentować i bronić interesów naszych, pracowników umysłowych.

— Jakże udało się pani zainteresować Konferencję tą sprawą?

— Muszę przyznać, że nie było to rzeczą zasadniczo łatwą. Przedewszystkiem—poziom całej organizacji jest bardzo wysoki. Dość powiedzieć, że, np., wśród urzędników Biura Organizacji „pracy” niema ani jednego, nieposiadającego uniwersyteckiego wykształcenia. Każdy, dopuszczony do głosu na obradach, przyjść musi na nie ze ściśmlem przygotowaniem naukowym, świetną znajomością przedmiotu i rzeczowymi danymi. Obrady te są wzorem idealnego parlamentaryzmu, taki panuje tam spokój, powaga i ścisłość naukowa. Sam fakt uzyskania głosu jest bardzo trudny, zwłaszcza w takich, jak mój, wolnych wnioskach. Temat, bowiem, obrad jest ustalony na

rok naprzód, dyskutowany w Radzie Administracyjnej, a potem dopiero decydowany na samej Konferencji. Przecież każda taka uchwała jest ustawą, którą ratyfikują potem tylko poszczególne państwa! Każdy, bez wyjątku, mówca otrzymuje tylko 15 minut i w nich zawrzeć musi wszystkie rzeczowe dane, całą rację i obronę swego tematu! Ja, osobiście, napisałam interpelację, którą organy wykonawcze Biura, działające z niesłychaną, cudowną wprost sprawnością i stawiające zawsze wszystko do dyspozycji członków delegacji, rozdały do czytania członkom Konferencji. Głos w wolnych wnioskach zabierać można tylko w dyskusji nad sprawozdaniem rocznym dyrektora Biura, tam go też uzyskałam. Łdaje mi się, że dużo mi dopomogło to, że... jestem kobietą. Podczas trzytygodniowych obrad Konferencji przemawiały bowiem tylko dwie kobiety: angielfka, miss Branfield i ja. Wywołało to więc odrazu zrozumiałe zainteresowanie. Istotnie—słuchano z dużym zaciekawieniem. Przedstawiłam całą niesprawiedliwość takiego pomijania olbrzymiej grupy pracowniczej i konieczność utworzenia dla niej oddzielnego przedstawicielstwa, i przyznano słuszność moim wywodom.

— Tak, to formalny triumf. Jakże prędko ta sprawa może zostać rozstrzygnięta?

— W tym roku jeszcze nie, gdyż program Konferencji tegorocznej jest już, jak wspomniałam, oddawna ustalony. Tematem obrad będzie sprawa—minimum wynagrodzenia w pracy chałupniczej i ubezpieczenia od wypadków w czasie pracy. Jednakże sprawa przedstawicielstwa pracowników umysłowych jest na dobrej drodze. W grudniu r. b. powstała już przy Biurze Organizacji specjalna komisja do spraw pracowników umysłowych; biorą w niej udział jednostki takiej miary, jak, np., Curie-Skłodowska! Ko-

misja ta przygotowywać będzie materiał do pracy dla Rady administracyjnej Konferencji, której posiedzenia odbywają się co trzy miesiące, coraz to w innym kraju, a najbliższe—odbyć się ma w Warszawie.

— No i pani nie zaniecha napewno swej pracy w tym kierunku?

— Naturalnie! Zostałam w tym roku poraz drugi mianowana przez p. ministra pracy i opieki społecznej członkiem delegacji polskiej, wyjeżdżającej na obrady Konferencji do Genewy. Drugim delegatem pracowników umysłowych—bo w tym roku otrzymaliśmy już dwa miejsca—jest p. Henryk Rygier, od Konfederacji pracowników umysłowych. Ponieważ jednak p. R. nie może pojechać, więc przedstawiać będą obie organizacje: Konfederację i Centralę Związków Zawodowych pracowników umysłowych.

— A teraz słówko o zainteresowaniu, jakie wzbudza Polska.

Jak już wspomniałam, członkowie delegacji poszczególnych krajów, to ludzie wybitni w swym zakresie—uczeni i specjaliści. Nawet najdalsze kraje, jak: Chiny, Japonja—wysłały kwiat swej inteligencji. Otóż wszyscy oni chwyтали skwapliwie każdą okazję, aby poinformować się o Polsce, o naszych warunkach życia, nauki, pracy, obyczajów. W każdej wolnej chwili, nieraz w czasie kilkunastominutowej pogawędki w kawiarni, musiałam im opowiadać o nas, a każdy szczegół był wysłuchany z uwagą i skrupulatnie notowany.

— Sam fakt, że to pani wystąpiła w tej roli, starczy na wyrobienie nam dobrej opinji. Kobieta-polka, podejmująca tak ważną inicjatywę na terenie międzynarodowym i przeprowadzająca ją z tak pomyslnym skutkiem—to doprawdy przyczyna naszej słusznej dumy. Prosimy o dalsze informacje o rezultatach tak doniosłej akcji.

*Natalja Jasłzewska.*



W. PRAŻMOWSKA

## SPORT A INSTYNKT WALKI

W wychowaniu dzisiejszem dużą wagę przywiązujemy do zagadnienia instynktów; nietyle zresztą do teoretycznego ujęcia istoty tego, co nazywamy instynktem, ile do jego roli w kształtowaniu charakteru. W stosunku do większości instynktów stajemy, bowiem, wobec trzech możliwości: rozwinąć instynkt w jego normalnej formie, zahamować go, lub wreszcie spowodować t. zw. zboczenie instynktu.

Dzisiejsze wychowanie, dające kobiecie możliwość uprawiania sportów, sprzyja rozwijaniu w niej instynktu walki. Czy zatem sport jest dla kobiety pożyteczny?

Przejdźmy narazie wyłącznie do zagadnienia instynktu walki w psychice kobiecej i rozpatrzmy je „sine ira”. Jeden z pedagogów-praktyków na podstawie obserwacji nad dziećmi stwierdził: „Chłopcy biją

się poto, aby okazać swą siłę; dziewczynki—poto, aby wykazać słabość innych“. Trudno odmówić trafności tej uwadze, zwłaszcza, o ile z terenu dzieci, gdzie może ta reguła nie byłaby zawsze ścisłą, przeniesiemy się w sferę ludzi dorosłych.

Tylko, że tutaj kobieta nie wstępuje już w szranki otwartej walki, a bronią jej stają się podstępny i intrygi. Co wtrąciło kobiecie w rękę tę broń niewolnika? — Poczucie słabości, brak odwagi, nieprzyzwyczajenie do walki. To samo poczucie, które powoduje tak często zupełną niezaradność kobiety w walce z życiem i jego trudami.

Jakiż stąd wniosek? Wniosek paradoksalny z pozoru: wychowanie kobiety nie powinno hamować w niej instynktu walki, a przeciwnie, powinno go rozwijać. To hamowanie dotychczasowe instynktu walki w kobiecie sprzyjało wytworzeniu z niej istoty biernej, pozbawionej świadomej woli do zdobywania, do tworzenia własnego życia. Było to, wprawdzie, bardzo „kobiece“, przynajmniej w pojęciu mężczyzn, ale przypuszczam, iż kobiety, wyzbywając się tych cech charakteru, nie pozbędą się swej istotnej kobiecości.

Jakże jednak to rozwijanie instynktu walki w kobiecie pogodzić z przeznaczeniem jej roli czynnika pokojowego? Przeciwstawiamy się przecież mocno udziałowi kobiety w wojnie z bronią w rękę. Nie chcemy istoty, która tworzy życie, uczyć zabijania. Wyjście z tej trudności proste: należy rozwijać w kobiecie instynkt walki, ale kierować go na inne tory: spowodować właśnie t. zw. zboczenie instynktu.

Nauczmy kobietę walczyć, ale nie z ludźmi, lecz z trudnościami, niebezpieczeństwami natury; zmienmy przedmiot walki, nie zmieniając jej podmiotowych wartości. Taką właśnie walkę zapewniają kobiecie sporty. Pływanie, żeglarstwo, narciarstwo, turystyka górską, sporty mechaniczne—oto sposoby, które najbardziej dodatnio urobą psychikę kobiety.

I tutaj należy kobietom umożliwić jaknajwiększą samodzielność. Nie znaczy to, aby miały od razu przedsiębrać wielkie wyprawy morskie, czy raidy automobilowe, same, bez mężczyzn, ale chodzi o to, aby, uprawiając te sporty nawet w towarzystwie męskim, opanowywały je całkowicie samodzielnie. Niech

nie powierzają trudniejszych prac mężczyźnie, a niech się przyzwyczajają same dawać sobie ze wszystkim radę. Wtedy będziemy mówili o dodatnim wpływie sportu na psychikę kobiecą; wtedy opanujemy i skierujemy we właściwe łożysko wrodzony człowiekowi instynkt walki.

Drugą grupą sportów, których istota polega na walce i to na walce między grupami ludzi—będą gry sportowe. I tej formy walki nie wahałabym się zalecać kobietom, ujęcie bowiem walki w określone zgóry formy i przepisy wyrabia karność i opanowanie. Walka zespołowa każe jednostce ustępować z osobistych ambicji na rzecz ogółu, uczy solidarnego współdziałania—stąd też wnosi do psychiki kobiecej wiele tych dodatnich wartości, których naogół życie mało jej dostarcza.

Natomiast grupą sportów, co do których wartości wychowawczych robiłabym pewne zastrzeżenia, są te, których istota polega na współzawodnictwie. Weźmy np. lekką atletykę. Teoretycznie wprawdzie „walczy“ się z sekundą i centymetrem — w praktyce współzawodniczy się z osobą x i y o palmę pierwszeństwa. Pole do zawiści, zazdrości, przerostu osobistych ambicji, próżności i t. d. Czy należy zatem zupełnie przekreślić zawody w sportach? Tego zrobić nie możemy, dopóki, bowiem, sportem interesuje się tylko garstka kobiet, nie możemy pozbywać się zupełnie tego atrakcyjnego czynnika, jakim są zawody. Należy natomiast starać się zmienić formę zawodów tak, aby ograniczyć rywalizację indywidualną na rzecz zespołowej: — zawody nie jednostek, a drużyn.

W ten sposób ujęte sporty nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla psychiki kobiecej, dadzą jej zaś szerokie pole działania, pozwolą na zdobycie tych dodatnich cech charakteru, które tak trudno było rozwijać w dotychczasowych jej warunkach życia. Kobieta, która z istotnym trudem i niebezpieczeństwem będzie zwyciężała w walce, poczuje swą siłę i nauczy się iść w życiu do zwycięstwa otwartą drogą i zwyciężać po rycersku. Ulegając zaś przeciwniczkom w grach zespołowych, czy w zawodach—nauczy się pogodnie przegrywać i spokojnie znosić porażki, które w jej domowym życiu tak bardzo wytrącały ją z równowagi.



M. H. SZPYRKÓWNA

## ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

*Sztuka mody.*

W czasach, kiedy młoda panienka jest właśnie młodą panią, zbyt wiele jest jej o sobie dbać. Dzieje się to samo—troska o wygląd jest wrodzona dziewczętom wszystkich sfer, niezależnie od wykształcenia. Dość spojrzeć na stroje ludowe, prześcigające zalotnością nieraz najstaranniejsze kreacje mody.

Ale życie współczesne wyłoniło nowy typ dbałości o urodę i — nowe jego wymiary. Pani Dulka w sławnej czerwonej flanelowej halce także była swego czasu, przed zaślubieniem Dulsczyzny, jakąś panną Iksińską, nieobojętą zapewne na to, jak wyglądała! Z pewnością stroiła się starannie przed przybyciem oblubieńca na sakramentalną kawę niedzielną do zdobnego w ozdoby włóczkowe i szydełkowe saloniku swoich rodziców. Panna musi podobać się narzeczonemu, bo—panna musi wyjść zamaż! Wszystkie kolorowe piórka, jakimi natura ją obdarzyła, grają wtedy najefektowniej barwami. Ale skoro mus się skończył i zamaż wyszła—finita! Mija roczek i drugi, i wiotkie dziewczę jakoś nieznacznie przestacza się w... babę. Zdeptane pantofle, czerwona halka, nieczesane włosy, straszne szlafroki. Nie potrzebuje się już podobać! Jest „matka dzieciom, żona mężowi“ i... bohaterka komedji dla odstraszenia potomnych.

I potomni, a zwłaszcza potomne: na szczęście powoli się odstraszyli! Dziś niema granicy dla estetycznego wyglądu i dbałości o siebie: Rubikon zamężcia przestał być Rubikonem kobiecości. I to jest wielki, szalony plus dzisiejszej estetyki życiowej! Plus u nas może nieco zbakierowany w kierunku strojów i salonu kosmetycznego, ale zagranicą już starszy, więc rozwijający się z większą równowagą. Dziś kobieta, niezależnie od lat, jakkolwiek jest matką dzieciom i żoną mężowi—dba o siebie daleko radykalniej, niż to czyniły panie Dulskie za czasów swego panieństwa, nie mówiąc już o małżeństwie.

Jakie są współczynniki estetyki kobiety współczesnej?

Odpowiednie ubranie,  
staranne uczesanie,  
kąpiel i gimnastyka,  
pielęgnowanie urody środkami, jakie podaje współczesna kosmetyka,  
sport i higiena,  
inteligencja życia wewnętrznego, odbijająca się w sposób bezzawodny na wyglądzie.

Ostatni punkt może się wydać narazie paradoksalny, niemniej jest zupełnie zasadniczy. Praca myśli ożywia pewne uspięte centra duchowe, które promieniują i nadają twarzy swoiste piękno, niezależnie od rysów. Robią ją, jak to się mówi, „interesującą“. Kto nam się wydaje zwykle interesującym? Ten, kto posiada jakieś niezbadane narazie dla otoczenia życie wewnętrzne, czyli kto poza ogólnie znanymi zainteresowaniami żywi inne jeszcze, nadprogramowe — czyje życie zatem jest bogatsze, bardziej swoiste, wyłamujące się z pod ogólnego strychulca. Człowiek, który wyładowuje w słowach całą treść, jaką rozporządza, pozostaje pusty—stąd wyczerpanie, odczuwane zwykle po „przyjacielskiej“ pogawędce, lub bezpłodnych dyskusjach. O ile jednak posiada nadwyżkę, która przeduchowia istotę cielesną — będzie zawsze magnesem dla otoczenia. Wysiłek intelektualny i duchowy, jeśli już go brać utylitarnie, opłaca się — i ludzie, posiadający jakiegokolwiek, byle mocno odczute i przemyślane, zamiłowanie, zawsze są pociągający — gdyby nawet samo ich zainteresowanie nie miało w nas odpowiednika.

A teraz—strona zewnętrzna. Ubranie, uczesanie, kosmetyka.

Salon towarzyski, jak już było nieraz mówione, zanika. Natomiast — rozwija się salon kosmetyczny. Rosną u nas, jak grzyby po deszczu, rozmaite „niezawodne“ sposoby, które jednak nie zawodzą przeważnie swoich wynalazców, dostarczając im pieniędzy od łatwowiej klienteli. Klientki są bardzo często zawiedzione. Czy znaczyłoby to, że salon kosmetyczny jest szkodliwy? Bynajmniej! Jest wprost nie do ominięcia. Trudno już dziś sobie wyobrazić, żeby w pewnych okazjach nadzwyczajnych nie mieć możliwości pójść do takiej mistrzyni od piękności — i nie wyjść uświetnioną! Po podróży, po wielkiem zmęczeniu, po wycieczce, skąd człowiek wraca posiepany przez wichry i deszcze, po zaniedbaniu, z jakichby powodów wynikł, no, i—przed występami triumfalnymi wszelkiego typu. Wtedy znawstwo kosmetyczne jest niezastąpione! Ale i wtedy, i kiedyindziej, jest, niestety!—bardzo kosztowne. I współczesny nasz skromny budżet krzywo patrzy na taką rubrykę, jako stałą — a tylko, jako rubryka stała, jest to rubryka racjonalna: tu, jak i wszędzie, dopiero wytrwałość i cierpliwość dają wyniki.

Więc?

Więc trzeba się uczyć samym zasad konserwowania urody, nie poprzestając na doraźnie stosowa-

nych tych, czy innych kremach. Gdybym mogła, wprowadziłabym kilkutygodniowy kurs praktyczny dla kobiet — i to młodych! — jak należy konserwować tę młodość — bo nawracać ją jest zawsze trudniej. Kobieta dzisiejszą obowiązuje pewna znajomość nauka budowy skóry, jej wymogów, środków dla niej odżywczych i składników szkodliwych. Wówczas nie będzie zdana na łaskę i niełaskę maści, kremów i kosmetyków, które jej trafia narzuci, tylko będzie się mogła kierować ogólnymi zasadami: tłuszcz, albo osuszanie — ściąganie, czy wygładzanie — słowem, najprostsze, nieliczne konieczności — mogące się zadowolnić nieskomplikowanymi środkami: ogórek, cytryna, białko, lanolina i kombinacje ich z kilkoma uzupełnieniami. Kobieta na najdalszej wsi mogłaby niewymyślnymi środkami domowymi utrzymać się w równej mierze dobrze co do urody, jak jej miejskie siostry przy wielu wspaniałych brzmiających specyfikach. Ale na to musi znać nieco anatomji, nieco chemji, nieco kosmetyki leczniczej — i posiadać wprawę, dla masażu, na przykład, niezbędną. Czyli raz jeszcze — kurs kosmetyki leczniczej, jakie teraz już powstają, lub praktyka w dobrym salonie i odpowiednia lektura, bardzo dziś obfita.

Uczesanie i manucure są dwoma nabytkami, spopularyzowanymi przez wojnę. Jak to się stało — trudno by dociec, ale fakt, że stało się! Dość o tem pomówić po fryzjerniach. Dziś manucure obowiązuje zarówno pannę sklepową, jak małą kapeluszkę i wielką damę. Co innego, że różnice zawsze będą — ale krok naprzód jest. Z drugiej strony, garsońska krótka główka sama się dopomina o fryzurę umiejętną i fachową, bo inaczej — jest brzydko. Długie włosy mogły być gładkie, krótkie — tylko wyjątkowo prawidłowa uroda znosi.

I oto budżet kobiety dziś jako stałą rubrykę miesięczną przewiduje jeszcze dwa wydatki: fryzjera i manucure — jeżeli która z pań nie jest taką mistrzynią, że umie lewą ręką operować, jak prawą.

A teraz — raczej higjena: kąpiel, sport, gimnastyka.

Z gimnastyką jest różnie. Zapewne, celowy rozkład ćwiczeń kieruje się ku harmonijnemu rozwojowi wszystkich mięśni, z których jedne są mniej, inne — więcej używane. Ale u pań, pędzących życie

czynne na wsi, rubryka ta może spokojnie odpaść na korzyść zwykłych ich „ruchomych“ zatrudnień. Zbieranie owoców, jagód, grzybów, ranne wstawanie, spacer, krzątanie się po gospodarstwie, sprzątnięcie pokoju, zasłanie łóżka (czynność doskonała, jako gimnastyka!) zawieszanie, zdejmowanie i t. p. — nie mówiąc o sianozęciu, kiedy się grabi, lub podrzuca — są to wprawki znakomite, którym żadna gimnastyka nie dorówna. Do tych znakomitości jednak musi dołączyć się znajomość rekompensaty, jakiej wymaga strudzony organizm: — tłuszcz dla wysuszonej skóry, obluźnienie dla mięśni, zimne okłady na rozszerzone pory i środki zmiękczające na spierzchniętą twarz. Wieśniaczki — chłopki, bardzo zgrabne i nieznające otłuszczeń, mają zwykle straszne i poniszczone już w młodym wieku twarze — właśnie dlatego, że nie umieją uzupełnić wydatkowanych przez organizm części.

Tennis, konna jazda, pływanie i wioślarstwo są sportami, dostępnymi na wsi, i robią nietylko „do twarzy“, ale i — do figury. Kąpiel jest niezastąpionym bezwzględnie środkiem leczniczym i kosmetycznym, docenionym tylko przez kobiety o najsłabszej cerze — amerykanki. Marzę o czasach, kiedy każde mieszkanie i w Polsce będzie miało łazienkę, a w tych, gdzie „takowa“ już jest — nie będzie ona służyła ani za szpiżarnię, ani za skład węgla, ani za nocleg dla służącej, tylko — za łazienkę. Jest nieskończone ważnym czynnikiem psychologicznym. Człowiek wykąpany nie włoży poprzednio zrzuconej bielizny, bo nagle uczuje, że jest nieświeża. Człowiek w świeżej bieliźnie nie wejdzie do przenoszono, niedość wywietrzonego ubrania. Człowiek, starannie i czysto ubrany, nie zniesie koło siebie niechlujnego otoczenia. Czyste otoczenie pociąga za sobą zamiłowanie do estetycznego przyozdobienia. Człowiek, który się kąpie codziennie (w Ameryce — dwa razy), mechanicznie podnosi poziom swego całego życia o wiele stopni. Jest to szczególna drabina Jakóbowa, której szczeble nieuchronnie prowadzą do kulturalnego nieba.

Została jeszcze — suknia. Ale sukni trzeba poświęcić rozprawę osobną, ile że, jak wiadomo, stanowi jedną z siedmiu dusz kobiety — przez wielkie K.



GABRYEL KARSKI

LIRYKI

Wyprowadziłeś mię, Panie, na łąkę daleką,  
wybrałeś miejsce nad srebrzystą rzeką,  
pokazałeś mi tęczę, którą gra rosy kropła,  
i dwie ważki złączone w beztroski aeroplan;  
dałeś mi w ręce pendzel i paletę,  
ustawiłeś stalugi i rozpiąłeś płótno —  
i odszedłeś, rzuciwszy mi słowo podniety:  
niechaj się nikt nie dowie, jak bardzo ci smutno.

\* \* \*

Minęło szczęście — tak boleśnie krótkie;  
wszystko skończone, nic się już nie zacznie.  
Nie będę dziś nikogo oskarżać swym smutkiem:  
któż wie? może-m zawinił tu sam nieopatrnie...

Ogrodzę samotności zwartym częstokołem  
przed ludzkim wzrokiem drogie, zmarłe chwile  
i będę cichym, codziennym trudził się mozołem,  
by mi wyrosło coś na tej mogile.

Potem, kiedyś, ukazę się znowu wśród ludzi;  
ujrzą twarz moją bladą i gest mój rozrzutny —  
i nikt nie pozna, jak mi cięży ten pozór bałamutny  
i jak mię bardzo już ta gra ich nudzi.

Jak ten, co dawno stracił miliony,  
bez żalu resztkę swego szczęścia przegram;  
aż wreszcie przyjdzie śmierć — jak spóźniony  
z dobrą nowiną telegram.



BRONISŁAWA OSTROWSKA

## W STAREM LUSTRZE

Fragmenty

W środku klombu, zarosłego szczelnie krzakami bzu, jaśminu—jest tajemnica. Jest dostatecznie niespodziana i piękna, aby zapełnić sobą chwilowo życie dwóch wrózek, które otoczyły ją czcią i opieką. Oczyściły wokoło wnętrze klombu z suchych gałązek i śmieci, wysypały piaskiem, wyłożyły kamykami. Zbudowały dwie pseudo ławeczki z darni, a między nimi kunsztowne ognisko czarów, ustawione z czterech przyniesionych ukradkiem cegieł. A teraz siedzą (jakże niewygodnie i rozkosznie zarazem!) na osuwających się wciąż ławeczkach, nie mogąc nasycić zachwyconych oczu widokiem tej rzeczy tak pięknej, a tak niezaprzeczenie wyłącznie ich własnej, że nie widziało jej oko niczyje w całym domu i w całym ogrodzie.

Skądże w tem miejscu zacienionem i niedostępnem wziął się ten cudny krzak róży polnej, obsypanej pakiem i kwieciami tak bujnie, że kiedy wślizgnęły się tu przypadkiem poraz pierwszy, zdawało im się, że ciemne wnętrze klombu uśmiecha się do nich tyśiącem różowych pocałunków?

Siedzą i rozprawiają o tem niezamordowanie, mieszając w tygielku blaszanym na wciąż podsycanem wiórami i papierem ognisku czarów—tajemniczy wywar z osypujących się różanych płatków. Nazywają się Orlestuna i Restobola. Są ubrane w różowe kretonowe sukienki, tak zwane bomby, przepasane skórzanym paskiem, i w białe, ażurowe pończoszki, sztucznie wyrabiane na drutach przez babcię Damianiową. Mają włosy równo ucięte, przeraźliwie potargane przedzieraniem się przez krzaki gęstego klombu. Orlestuna—to ja.

Zresztą, tylko co drugi dzień, bo, widząc niezdecydowanie moje w wyborze wymyślonych przez nią imion, Restobola zaproponowała zgodnie, jak zawsze, używanie obu tych imion naprzemiennie. Co było istotnie jedynym wyjściem z trudnego wyboru. O, bo Restobola umiała zawsze znaleźć „szczęśliwe“ wyjście z każdej bez wyjątku sytuacji! To była nie tylko wielka, ale bardzo dobra wróżka.

I nie tylko, jako Restobola. Teraz, na przykład, kiedy wiejskim ciepłym wieczorem siedzimy na wysokim trapezie przed domem, trzymając jedną ręką sznur, a drugą obejmując się wzajemnie, żelazne kółko, ocierając się o hak, kołysze nas, skrzypiąc, lekko i miarowo. Poza tem jest zupełnie cicho. Chyba czasem zdaleka zaszczekają psy ze wsi. Wielki, okrągły książyc, złoty, jak miód, podnosi się nad strzechą sto doły. Liście wielkiej lipy są czarne i nieruchome. Czasem tuż obok nas przelata mały nietoperz.

Wszystko pachnie maciejką i groszkiem z ogrodu. Ta maciejka i groszek—to grzęda Juli. Na mojej nie rozkwitło dotąd prawie nic. I właśnie przed jutrzejszą niedzielą to jest cierń, który nie pozwala mi nawet swobodnie oddawać się najmiłszej wieczornej zabawie, polegającej na pytaniu, co byś zrobiła gdyby?... Zaskakuje mię pytanie nagłe i nieformalnie postawione.—A gdybym chciała zamienić się z tobą na grzędę?—Żartujesz. Chciałabyś?!—Oczywiście, że małodusznie chcę, ale nie mogę uwierzyć, by chciała ona.—Naprawdę chcesz?—Naprawdę, przysięgniesz. Na różany krzak.—To zakłęcie najmocniejsze i wątpię nie mam prawa, ale wciąż jeszcze nie rozumiem. I nagle czuję, że ręka Juli obejmuje mię mocniej, a w ucho wpadają słowa cichutkie, nieśmiałe i uśmiechnięte.—Kiedy, Bronuś, ja naprawdę wolę jak jest tak, jak ty wolisz—I tu już wiem, że to prawda. I będzie zawsze prawdą. Kiedy w późniejszych latach odwiedzam Julę w jej mieszkaniu, w nieistniejącym dziś, jak i ona, domu Karasia, poczucie tej właśnie uśmiechniętej prawdy ogarnia mię już przy mijaniu wielkiej fasady Św. Krzyża i skweru przed Kopernikiem, zawianego w zimie śniegiem, a w lecie zasłanego różami. I nie opuszcza przez cały ciąg odwiedzin, stanowiąc ich główną i nieodmienną radość.

Mija się na krzywym piąterku gwarny i zaśmiecony warsztat i, zamknawszy szczelnie drzwi za sobą, wciska się w róg wysiedzianej kanapy przed okrągłym stołem. W kręgu naftowej lampy, na szarym płóciennym obrusie stoją grube szklanki z herbatą, talerz rumianych bułek i spodeczek z mialkim dla oszczędności cukrem. Rozłożony tom Trylogji, Mickiewicza lub Słowackiego—dopełnia święta. Czasem, na gorące moje prośby, zjawia się gruby zeszyt Juli, a wtedy uczucie owej, tym chwilom jedynie właściwej, radości pogłębia się jeszcze, przesłaniając sobą wszystko inne. I życie zdaje się jedną prostą drogą, odwijającą się w pełnym słońcu, między dwoma polami nisko kłaniających się zbóż. Snują się plany konieczne i nieodwołalne, nowa płomienna i pełna wiary zabawa, polegająca teraz na odpowiedziach:—co zrobię, gdy...—Przerywa ją najczęściej dopiero najście wieczornego uniwersytetu Juli, składającego się z gromady najuboższych dzieciaków, które wchodzi z książkami pod pachą, szurgając grubym obuwem uroczysty ukłon.

Potem już odwiedzałam Julę za okienkiem małego pocztowego biura. To była odpowiedź życia na zadane niespodzianie pytanie:—Co zro-



bisz, gdy... gdy przyjdzie ślepotą ojca, zniedołężnienie babki, ciężar opieki nad młodszym rodzeństwem?— Wielka chwila wyboru pomiędzy chceniem własnym, a brzemieniem codziennej, niedocenianej ofiary. Restobola przecież naprawdę wolała zawsze to, co wolał inni. I kiedy wchodziłam do zadymionego szarzyzną lokalu poczty, patrzyła na mnie z ramy drewnianego okienka twarz niezmiennej, niezmacone pogody. Siedziałam na niewygodnej ławeczce pod oknem, czekając w stukocie pieczętek, trzasku liczydeł, łomocie drzwi i tupaniu butów na brudnej posadzce—kiedy wybije oczekiwana, wyzwalająca godzina. I niewiadomo dlaczego przypominało mi się nieodparcie zasmuczone wnętrze klombu, gdzie, Bóg wie, skąd i dlaczego, rozkwitał tysiącem różowych uśmiechów krzak polnej róży—czar naszego dzieciństwa. Potem wychodziło

się z biura razem, prosto przed kolumnę Zygmunta, czarną na bladym niebie. Milczało się, albo też mówiło o wszystkim, poza obecnym koniecznym „tymczasem“. Restobola była coraz cichsza i coraz spokojniejsza. Przed rozstaniem na długo, gdy zaczęłam mówić o odłożonych tylko jej planach, uśmiechnęła się, ściskając mi ręce.

— Czas zleci, Bronuś! — I cichutko, że bardziej domyśliłam się, niż dosłyszałam, dodała: — choćby i do emerytury.

Nie doczekała emerytury, tak jak nie doczekała chwili własnego i dla siebie życia.

Warszawa powitała mnie po powrocie na tejże samej, cichą pogodą wiejącej, fasadzie Św. Krzyża—małą żalobną klepsydrą Restoboli—urzędniczki poczt i telegrafów państwowych.

MAX WIT

4)

## KRYSTAŁOWA KULA

Tą kryształową kulą był pokój, łabędziem—ciemna, wielka postać Listera; a chociaż mogła go dotknąć w każdej chwili—czuła na ustach chłód kryształowej przegrody, dzielącej ją od świata myśli prawdziwych i prawdziwej, bo najistotniejszej pracy swego męża.

Gdy Lister siadł przy niej, nie skończywszy roboty, oparła mu głowę na piersi i skarżyła się, do głębi przejęta:

— Nie mówiłeś mi, że piszesz książki, takie grube tomy i takie mądre, że zupełnie nic nie rozumiem! Dlaczego nie wtajemniczasz mnie w swoją pracę, nie wciągasz do niej, nie dzielisz nią? Przecież ty kochasz bardziej te cuchnące naftą szpalty gazet, niż mnie! To jasne! Tak być powinno; ale zrozum, że ja cię kocham, że chciałabym cię porwać, mieć dla siebie, i sama nie wiem, czy mi jesteś miłszy teraz, gdy siedzisz przy mnie i trzymasz w ramionach, czy wtedy, gdy tkwisz w twoich gazetach, broszurach, Stresemannach, Chamberlainach i innych dalekich i obcych mi Chinach.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

— Po co ci to, Lenuś! co ci przyjdzie z Chin i Chamberlaina? Powiedz sobie, że jestem... jestem na przykład, buchalterem. Chiny, to skład szkła, a pan Chamberlain, to kupiec korzenny; ja zaś wystawiam bilanse z długich, nudnych szeregów cyfr. Wystawiam, bo muszę, bo taka jest moja praca zarobkowa. To potrafię i tak zarabiam. Czy, gdybym był bokserem zawodowym—a niewiele do tego ongiś brakowało! —czy kochałabyś mnie mniej, czy byłbym gorszy, niż jestem? Wyobraź sobie, że piszę, bo taki

jest mój zawód: mam talent, który zamieniam na dolary. Jestem przytem w tem szczęśliwym położeniu, że lubię moją pracę. To więcej warte od dolarów. Nie przeklinam, lecz błogosławię! Oto wszystko! Polityka nie jest dla ciebie. Ani jej nie polubisz, ani jej sensu nigdy nie zgłębisz dostatecznie. Szkoda czasu! Pójdźmy lepiej do kina...

\* \* \*

Jednak sobie Lister tego kina nie przebaczył. Potraktował je, jako ucieczkę, lenistwo, gnuśność, i miał narazie wielki żal do siebie. Skargę Leny przyjął, jak kaprys, pobłażliwie; ale zrozumiał, że samotność, na którą ją z racji swych zajęć skazuje, zbyt jej ciąży. Postanowił wcześniej wstawać, wcześniej kończyć dzień zajęć, a pozostały czas poświęcić żonie. Rzeczywiście—nic lepszego nie mógł zrobić. Odrazu pojął, że Lena „cierpi“... wskutek nudy. Imputował jej swoje domniemania, krzywdził w ten sposób najistotniejszą stronę jej stosunku do siebie. Sobie zaś narzucał fałszywy sąd o niej, co musiało prędzej czy później wykiełkować w ziarno, z którego nic dobrego zakwitnąć nie mogło.

Odpowiedź Listera nie uspokoiła też Leny. Uważała, że dyplomatycznie ominął samo zagadnienie, oświetlił tylko jedną stronę „sprawy“, drugą—ważniejszą, odpychając w mrok i oddalenie, do którego nie ma zamiaru w przyszłości nawracać...

Nie mogła zaprzeczyć, że było wiele rozumnej racji w tem wyjaśnieniu, ale bynajmniej nie mogło jej przekonać, że musi skapitulować, wyrzec się raz nazawsze idei o współpracy z mężem... przynajmniej w dzie-

dzinie zrozumienia tych zagadnień, które były ośrodkiem jego publicystycznej, tak bardzo osławionej i cenionej, działalności. Wyobrażała sobie, że Lister ironizuje. Kinowa propozycja zaskoczyła ją niespodziewanie: wysunięcie owego pójścia do kina, przeskok... był lekceważącą woltą człowieka wyższego w jej stronę. Poprostu uznał za zbyteczne i niepotrzebne wszelkie wyjaśnienia, jakgdyby i tych słów ona, mała kobietka, zrozumieć nie mogła. Bolało ją to ogromnie, obrażało całą dobrą wolę — ale nic przez to zmienić, się ani odwrócić nie mogło.

Tak więc najczystsze marzenia dziewicze, przedślubne, o idealnym zespoleniu w pracy i radości z mężem rozwiały się poprostu dlatego, że rodzaj jego pracy i on sam odzęgnywał się od tego. Wierzyła jednak, że musi skompensować, wyrównać swój udział w ich związku małżeńskim w sposób widomy, odczuwalny. Miała królestwo swego domu, była w nim panią jedyną, wszechwładną. Tu mogła i zapragnęła stać się wszystkim, a wszystko miało jeden cel świetlisty: — służenie Listerowi. Musiał na każdym kroku poznawać wartość dłoni żony, winien był odczuć całe ciepło atmosfery starań i miłości, która go otaczała.

Lister, surowy Lister, nie sprzeciwiał się niczemu; poprostu poddawał się, pozwalał wspaniałomyślnie na służenie sobie, dla tej przyczyny, że nie spostrzegał w otoczeniu, ani w żonie niczego, godnego zastanowienia. Nie miał czasu na analizy szczegółowe subtelne. Kochał Lenę, bo nie wyobrażał sobie wcale, że można nie kochać żony, którą się wybrało. Kochał ją przedewszystkiem, ponieważ była jego żoną, obcowanie z nią wysycalo go pogodą i łagodnym ciepłem; jej sądy, rojenia, poglądy małej dziewczynki (tak nazywał ją w duchu) bynajmniej nie nużyły — owszem wypełniały tylko dumnym przeświadczeniem o niezaprzeczanej wyższości. Wracal do domu po pracy nerwowej i ciężkiej w doskonałym humorze, wiedział, że wyjdzie mu naprzeciw jasna, wytworna i świeża kobieta — żona — mała, bajeczna królowa jego domowego ogniska — że ucałuje z szacunkiem jej ręce i że zasiądą do stołu. Był zawsze wilczo głodny, a myśl o wieczerzy we własnym domu, o spokoju i godzinach przy biurku miała w sobie moc rzeźwiącą — budziła poczucie zupełnego, beztroskiego szczęścia. Po kawie wyznaczał dwie godziny na wstępny artykuł polityczny do własnego pisma. Były to najlepsze dwie godziny w ciągu dnia: one rodziły owe mistrzowskie posunięcia, niemające równych sobie w prasie publicystycznej, one koronowały jego dzień roboczy; wszystko inne miało posmak orki, musowego kieratu codziennych obowiązków — owe godziny wieczorne były źródłem jego sławy. Nie chciał i nie umiał poświęcić tego czasu żonie. Uważałby, że się

sprzeniewierza, gdyby zrezygnował z owej najbardziej umiłowanej i najbardziej twórczej pracy wieczornej. Po pierwszej rozmowie z Leną zdecydował, że będzie to jednocześnie rozmowa ostatnia w tej sprawie — i z uporem uchylał wszystkie próby kobiety do rozpoczęcia dyskusji; znajomość dyplomatyki i kunszt polityczny, poraz pierwszy zastosowane w codziennym życiu Listera, bujny przyniosły owoc — był więc zadowolony i dumny, że z takim powodzeniem owe umiejętności stosuje.

Z dumą konstatawał, że małżeństwo nie przewróciło mu życia nawspak, że niczego nie zniszczyło i niczego nie przebudowało. Pośpieszył nawet podzielić się tem spostrzeżeniem z żoną.

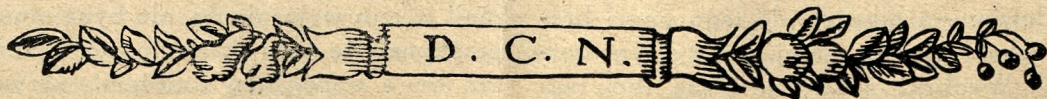
— Masz rację — odrzekła sucho — nic się nie zmieniło, jesteś wierny sobie. Godne to uwielbienia i czci, ale powiedz mi, właściwie, pocios się żenił? Czyś zapragnął umeblować swój dom nanowo i ozdobić go nowym sprzętem — żoną — czy po to, Listerze?... — głos jej zmatowiał, coś się załamało. Te słowa były ciężkie, ogromnie ciężkie: bezlitośnie uderzały w obojga. Uderzyły w Listera, spadły, niby cios, wymierzony między oczy twardą pięścią przeciwnika: Dlaczego się więc ożenił?

Uśmiechnął się jednak tym swoim zdrowym, dobrodusznym uśmiechem i, kręcąc kulkę z chleba między palcami, odparował z godnością i spokojem:

— Kochałem cię... kocham, kobieto... 'oto wszystko — nie mam innego usprawiedliwienia.

Podniosła na niego oczy, pełne łez, i zamiast odpowiedzi, padła mu w objęcia. Owe słowa miłości kochanego człowieka były w tej chwili droższe, niż wszelkie usprawiedliwienia potrzeby ich małżeństwa. Kochali się razem. Czyż mieli sobie tłumaczyć, dlaczego się pobrali? Tak, Lister wiedział, czego pragnie; jego życie ma swój mądry, określony, zamknięty w mocne ramy, sens. Jak mogła przypuszczać, że nie wie, co czyni! Zbyt był drogi, by mu nie miała wybaczyć; właściwie to „wybaczyć“ jakoś sama wyimaginowała: przecież nie było potrzeby wybaczać, boć nie było w jego czynach nic obiektywnej winy. Utuliwszy głowę na jego piersi, łkała, niby małe, skrzywdzone dziecko, pocieszane przez Listera.

Znowu pomysłany artykuł pozostał w dziedzinie niewypełnionych zamierzeń, a następnego ranka pan redaktor Day poraz pierwszy od wielu lat spóźnił się o godzinę do biura. Szedł tego dnia do pracy, jak zbrodniarz i winowajca. Coś się w nim buntowało, coś czyniło gorzkie wyrzuty. On, człowiek wolny, niezłomny — skapitulował, dał się porwać szaleństwu uczuć tej małej kobietki, niemal dziewczynny, i bał się spojrzeć przed siebie: gdzieś, bowiem, za pierwszym wygibem świadomości czaiła się nowa możliwość klęski.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## DRAMAT ZA ŚCIANĄ\*)

...„*bolata dusza, co tak bez miary  
wysoko nad wszelką pociechę wyrosła*“.

„*Kłeska*.“

Twórczość Kazimierzy Młakowiczówny ma charakter nawskroś dynamiczny. W jej poezji zmagają się ustawicznie dwa prądy, zrosnięte nierozzerwalnie mocą podświadomych wiązań. Duch i materia, głos instynktu i nakaz wewnętrzny, Lelum i Polelum wszelkiego mistycyzmu prowadzą na terenie jej poezji walkę, którą zlikwidować można jedynie na całopalnym ołtarzu sztuki.

Liryka Młakowiczówny jest tej konieczności całopalenia bolesnym przeczuciem. Jej epika jest nabożną procesją wokół stosu męczeństwa i wyzwolenia. Dramat, którego nie napisała dotąd, i niewiadomo, czy kiedykolwiek napisze, będzie pożarem dawno nagromadzonych materiałów palnych, które płoną dotychczas fragmentarycznie i w rozproszeniu, jak błędne ogniki na pustkowiach jej rozmyślań.

Wszystko wskazuje na to, że siła twórcza Młakowiczówny wkroczyła w okres przyspieszonego wzrostu i dojrzewania. Notowane coraz częściej na kartach jej książek momenty wysokiego emocjonalnego napięcia są wyraźną zapowiedzią radykalnego wstrząsu. Coraz częściej chmurne niebo jej samotnych medytacji przesywa błyskawica natchnienia, zlewająca przeżycie wewnętrzne z jego słownym zmaterializowaniem w jeden piorunowy stop formy, której nie sposób podciągnąć ani pod kategorię liryki, ani epiki. Można ją chyba nazwać przekrojem dramatu.

Spróbujmy uzasadnić to określenie. Podłożem uczuć, wyrażonych w utworze lirycznym, może być albo fakt już dokonany, albo wizja rzeczy, które nastąpić mają, są upragnione, oczekiwane, możliwe. Liryzm zatem korzeniami swymi tkwi w przeszłości lub przyszłości, zawisając nad teraźniejszością mostem tak wąskim, że zmieścić się na nim może zaledwie krótka notatka emocjonalna, popularnie zwana nastrojem.

Jedyną formą przychwycenia życia na gorącym uczynku stawania się jest dramat. On sprawia, że czyny dawno spełnione, lub pomyślane, przeczute lub projektowane w przyszłość, rozwijają się w naszych oczach, jako łańcuch faktów, zamkniętych granicami teraźniejszości. Każde przestąpienie tych granic równa się wkroczeniu na obcy teren liryki lub epiki i to zarówno wtedy, gdy chodzi o dramat w znaczeniu formy poetyckiej, jak o samą dramatyczną postać ujęcia rzeczywistości.

Przyłożmy tę miarę do jednego z urywków „Księgi siedmiu noży“:

„Nie pomoże nic — ani zęby zacięte, ani zaciśnięte pięści.  
Jedna Matka Boska wie o mojem nieszczęściu;  
zebrała wszystkie skargi w połę błękitnego płaszczu  
[i w niebo poszła, jak światłości rzeka,  
po miłosierdzie Boskie. A ja na nią czekam“...

Co to jest? To przecież nie liryka — to tylko stwierdzenie faktów. Na wyśpiewanie uczuć niema miejsca, ani czasu. Widowym ich znakiem są tylko „zęby zacięte“ i „zaciśnięte pięści“ — zwięzła wskazówka scenarjusza. Całość — to moment dramatyczny o wysoce skondensowanym napięciu uczuciowym, złagodzonem powierzchownie przez malarskie operowanie barwą i światłem: „zebrała wszystkie skargi w połę błękitnego płaszczu i w niebo poszła, jak światłości rzeka“.

A oto „Kolumny nad wodą“ ze „Zwierciadła Nocy“, urywek, łudzący wszystkimi pozorami liryzmu:

„Spoczną lecące liście  
na stawach, strojnych w łabędzie;  
wyjdzie z pod kolumn cisza  
i posągiem nad wodą usiedzie,  
i runie w sercu lato  
wałcem się wiekiem trumny,  
a cisza westchnie u brzegu:  
„O kolumny... kolumny... kolumny...“

Gradacja obrazów od kojącego spoczynku liści na stawach do śmierci lata, które „runie w sercu wałcem się wiekiem trumny“, skupienie akcji na tragicznym momencie kataklizmu wewnętrznego, personifikacja ciszy, niemego świadka zdarzeń, odgrywającego jakby rolę chóru greckiego, — to wszystko sprawia, że odbieramy wrażenie zamkniętej w sobie sceny, która, pomimo śmiałości zastosowanych w niej skrótów perspektywicznych, nie traci nic na głębi, a zyskuje na skondensowaniu.

Albo ten lapidarny dialog ze „Złamanym jaśminem“:

„Łuk jaśminowej gałęzi przełamano na dwoje kamieniem,  
zgniecione pachnie kwiecie słodyczą, skradzioną upałem.  
„Zmienisz się, zginiesz!“ — „Nie, jasność na jasność wymienię.“  
„Trupiel!“ — „Na gwiazdach zakwitnę, jak tutaj — złoto i biało.“

Negatywna postawa wobec życia skłania do wyszukiwania tragicznych konfliktów w naturze.

„Złamana słońca gromnica — czerwono-żółty blask,  
wstępuje śmierć na niebo, odziana w miesięczny kask  
i kroczy żelaznym stąpieniem po górach z dzwicznego granitu,  
aż spadają bengalskie deszcze gwiazdzistych monolitów.“

\*) J. K. Młakowicz — „Płaczący ptak“ — Warszawa, 1927  
Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Kazimiera Młakowiczówna — „Zwierciadło Nocy“ — Warszawa 1928. J. Mortkowicz.

Wizje, godne Sykstyń; Michałaniołowskie olbrzymy o napiętych w wiekuistym zmaganiu się muskułach; apokaliptyczne bestje, smoki i gryfy z fantastycznych opowieści zaludniają świat leśnych mroków, blasków księżycowych, nocy letnich, rzek szumiących („Rzeka“, „Chore smoki“, „Wzruszony smok“, „Księżycowy paw“, „Oko ziemi“, „Ulewa letnia“). I tam nawet, gdzie niema bezpośredniego powodu do tragicznego zatargu, oblicze tych zjaw pełne jest zaświatowej grozy.

„Syczą mroki, jak gady, rozgrzane do białości  
I ulewa z błyskawicami  
mrok biczuje srebrnymi biczami,  
przez leniwe cielska tnie do kościł“

W laokonowych oplotach męki, zmagania się, przemocy miota się wszechświat Młakowiczówny wokół tragicznej osi, którą jest mikrokosmos jej własnego ja. W nim, jak w centralnej soczewce, przecinają się boleśnie wszystkie promienie odwiecznych instynktów, dogmatycznej wiary, prometejskiego buntu i kobiecej tęsknoty za szczęściem, których poetka uzgodnić nie chce na drodze życiowego kompromisu, a stościć nie może w jedno ognisko harmonji i równowagi.

„Każdym oddechem, każdą łzą — serce kaleczy się i grzeszy...  
O Boże, nie odejdę stąd, dokąd mię nie pocieszysz!  
Zostanę przed Tobą, ujmę Cię i nie puszczę, jak Jakób.  
[który obstępiony od szakali kołem,  
przez całą noc najczarniejszą, przebitą gwiazd gwoźdźmi,  
[mocował się aż do zwycięstwa z Aniołem.“

Zapowiedź walki, która sama w sobie ma walor czynu dramatycznego.

Ale o jakie zwycięstwo tu chodzi? Któż jest tym aniołem, z którym zмага się Jakób, „obstępiony od szakali“? Odpowiedź znajdziemy może w „Zwyciężeniem natchnieniu“.

„Wisisz nademną, chmuro, chwiejesz się, chwiejesz, pieśni...  
...„grozisz błyskawicami, przerażasz pomrukiem złowrogim  
i walczyć muszę z tobą, jak z czemś stuskrzydłem,  
[stugłowem, stunogiem.  
Tnę mieczem, ogniem palę kształt, co się pomiędzy mną,  
[a słońcem obłoczy,  
i już sercem wiem, że zwycięsko napowrót w gardło  
[niebytu cię wtłoczę.“

Natchnienie jest tu siłą wroga, niepożądaną, przesłaniającą słońce: monstrum piekielnem, które poetka przemocą wtłacza napowrót w gardło niebytu. I może właśnie ten negatywny jej stosunek do twórczości jest zawiązkiem osobliwej tragedji, — tragedji ust, które milczeć nie mogą, a mówić nie chcą — za wszelką cenę.

„Ty, co królujesz, Ty, co władasz w górze,  
Ojczy nie miłosierny, nie daj Twym siepaczom  
wpisać do ksiąg Twej pomsty imienia, w torturze  
wydartego mi... Nie pamiętam nic... wszystko przebaczam.“

Epilog tragedji, która się rozegrała za kulisami poezji.

\* \* \*

To właśnie zakonspirowanie przeżyć, chorobliwa niemal dyskrekcja wobec własnego wnętrza, samotrawienie się uczuć, dławionych kurczowo zaciśniętą ręką woli, wywołuje na łagodnie falującej powierzchni liryzmu dramatyczną erupcję, sygnał wyzwolenia się mocy podziemnych, długo więzionych drakońskim nakazem milczenia.

Drogą drobiazgowej analizy zastygłych w regularną bryłę wyznań poetyckich możemy zdać sobie sprawę z istotnej temperatury tej lawy duchowej i zbadać skład chemiczny skondensowanej namiętności, która kipi na dnie każdego słowa, jak w głębi krateru. Ale sam proces wrzenia pozostaje dla nas tajemnicą. „Lecz imię twe, ukochany mój, chociaż postokroć wyznane, na dnie serca leży i lśni nakształt złotego ściegu“. („Spowiedź“).

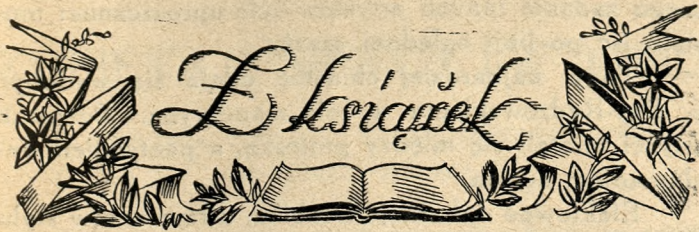
Sprawca kataklizmu wewnętrznego jest bóstwem o obliczu zakrytem. Widzimy rany, ale nie widzimy noża. Słyszymy płacz, ale łzy płyną z nieznannej nam krynicy. „Nie wiem, czy w szatana jestem sferze, czy pod cieniem krzyża“. Niewiadomo, kto: Bóg, czy szatan rozciągnął na torturach tę duszę, zrodzoną do męczeństwa, naznaczoną krwawym stygmatem bólu, podobnie, jak są dusze szczęśliwe, znieczulone od urodzenia atmosferą niezamąconej pogody.

Biblijny dualizm, odwieczny rozłam między duchem a ciałem, światłem a mrokiem, prawdą a zdradą, — szarpie duszę poetki temi samemi obcęgami zwątpienia, któremi szarpał niegdyś duszę Hioba i Psalmisty. „O Boże, któryś miłość stworzył i dopuścił żądzę i wzniecił przyjaciela, a dopuścił wroga, jakże, ślepy proch ziemi, dojrzę, kędy droga, jakże Twe sprawy poznam, zbadam i rozsądzę?“

Z wrodzonym duszom żarliwym radykalizmem poetka żąda, aby problemat dobra i zła, wahający się od wieków na szalach sumień, doraźnie przeciął Cherub Boży „ręką niemylną i chrobrą“ i wzniósł raz na zawsze ściany, „dzielące po wiek wieków szatana od Boga i zdradę od wierności, a miłość od żądz.“ (Czarne i białe“). Dusza łamie się na progu niepodobieństwa. A tymczasem gra „pusta muszla“ — opuszczone przez łaskę Bożą serce człowiecze. „Niczem nie jestem, tylko drganiem strun żalonych.“

Dwie smętne siostry, córy Nieskończoności: Miłość i Śmierć — zaplotły nad tem sercem dłonie w cieniową koronę, której każdy kolec zakwita rubinową kroplą poezji.

Za ścianą miota się i krwawi „płaczący ptak.“ Nikt go nie zna, nikt go nie dojrzy w mrokach nocy, choć każdy wie, że to jest ptak nieszczęścia. Dane nam jest tylko widzieć ślady katastrofy: pióra, wyrwane ze skrzydeł poezji w walce z bezimiennym wrogiem. Cały dramat rozegrał się za ścianą.



Marja Kuncewiczowa: „Twarz mężczyzny“. Nakładem<sup>m</sup> Jakuba Morłkowicza

Każdy utwór Marji Kuncewiczowej, jest jak owoc, nabrzmiały sokami. Zanim zdążyś zatopić w nim zęby, już cały jesteś obłany cierpką fontanną, odorzonym skondensowaną esencją aromatów, olśniony nadmiarem blasków, rozsiewanych z celową niedbałością hojnego bogacza. I jeśli zacząć, wzorem większości krytyków, ocenę utworu od wyszukiwania w nim wad, to „Twarz mężczyzny“ ma jedną, rzucającą się w oczy, a zarazem kardynalną wadę: supremację soczystości stylowej nad miąższem istotnego wątku.

Założenie utworu jest ciekawe i w ten sposób, jak to uczyniła autorka, dotychczas niewyzyskane: twarz mężczyzny, załamująca się w pryzmacie duszy kobiecej w rozmaitych okresach jej życia, poczynawszy od dzieciństwa, gdy świat męski składa się z samych „braciszków“—kończąc na dojrzałej młodości, kiedy bohaterka Ania zawija do przystani małżeństwa, spotkawszy na swej drodze przyszłego ojca swych dzieci. Ten „ideologiczny“, że się tak wyrażę, stosunek do tematu ujmuje go odrazu w ramy pewnej dyscypliny, eliminując z życia Ani te wszystkie fakty, które bezpośrednio nie wiążą się z obliczem tajemniczego bóstwa, jakim w istnieniu każdej kobiety jest miłość. Na tej drodze szematycznego nieco podziału groziło autorce niebezpieczeństwo skurczenia horyzontów psychicznych do terenu ściśle obserwacyjnego. Raz tylko to rozgraniczenie stało się przyczyną omal że nie katastroficznej luki: etap między rokiem 1920 a 1925—pustka sercowa Ani między miłością Jerzego, a Kazimierza—pustka, której nie wypełnia nic, nawet oblicze tęsknoty, czy rozpacz. Ale to tylko drobna plamka na horyzoncie powieści. Groźniejsza chmura nadciągnęła z niespodzianej strony: zwolna, ale stale opadające skrzydła twórczego polotu rzuciły cień na większą część książki. Po pierwszym rozdziale „Wśród braciszków“, rozkwitłym, jak przepyszny kwiat ekspresji w blasku dojrzałych środków artystycznych, oczekujemy dalszych rewelacji. Zamiast spodziewanych wizyj emocjonalnych, autorka obdarowuje nas szeregiem odbitek coraz to bledszych, coraz to bardziej zamazanych. Ostatni „mężczyzna“ Ani, ten, który właściwie ma być „pierwszym“, to człowiek nawskroś papierowy. Nie żyje, nie mówi, tylko szeleści. Zmęczenie, ogarniające autorkę, udziela się i czytelnikowi; nie dość na tem: wydaje się ono jedynym bodźcem, skłaniającym Anię do małżeństwa.

Fakt, psychicznie i życiowo zrozumiały, mści się na utworze w sposób dotkliwy: jesteśmy przykro zaskoczeni dysproporcją wziętego na początku książki tempa, a bezładną dreptaniną na finishu. Ma się wrażenie, że autorce zbrakło tchu, czy też poprostu temat ją „znudził“ i dokończyła książkę bylejak, na kolanie, jak niedbałą dziennikarską notatkę.

A jednak... Wszystkim tym zarzutem i wielu innym, daleko ostrzejszym, jakich nie szczędzono autorce na łamach pism literackich, zamknąć można usta jednym słowem: talent. W całym swym bezładzie i nieokiełznaniu z jednej, a przepracowaniu stylowym z drugiej strony—potężny, bijący o przytępioną nawet wrażliwość czytelnika, jak górski potok o skałę. I wyłamujący z tej wrażliwości takie kamienie potępienia, jakich nigdy nie poruszy z miejsca stojąca woda zastygłej w bezruchu, jednostronnej „kultury“ literackiej.

Świeża, barbarzyńska, z głębin podświadomości płynąca, siła twórcza Kuncewiczowej zdobędzie się na właściwy chwyt rzeczywistości dopiero wtedy, gdy ujmie ją dłonią bez rękawiczki, gdy odrzuci od siebie wszystkie naloty przypadkowych, lub rozmyślnych filjacji stylowych, których balast ściąga ją na pochylnię manjery. Zaciekłość, z jaką krytyka męska powitała pracę Kuncewiczowej, jest faktem wysoce znamionnym. Świadczy on o postawie obronnej, jaką instynktownie przybiera zagrożona w leniwym spokoju placówka.

S. P. O.

St. Barabasz: „Sztuka ludowa na Podhalu“. Książnica-Atlas 1928. 44 tablice w teczce, zawierające 216 rysunków piórem, z tekstem objaśniającym.

Autor, znany z wydawnictw pod tytułem: „Ornament płaski na pomnikach krakowskich“, wieloletni dyrektor szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, miał sposobność w swoich wędrówkach po Podhalu gruntownego poznania i zebrania wielu okazów zdobnictwa ludowego. Zeszyty I i II zawierają szkice i zdjęcia wyrobów góralskich z drzewa, zebranych na Spiszu i Orawie. Przedstawione są typy domów, szczyty dachów, kościołki drewniane, ganeczki, słupy, odrzwia, okna, paraluzy, zręby, sprzęty, jak: stoły, stołki, ławy, łóżka, szafki, naczynia, półki, listwy na obrazy, łyżniki it.p.

W tekście podano dokładnie, gdzie, u kogo i kiedy te przedmioty zostały znalezione.

Dzieło St. Barabasza wykazuje jednolitość sztuki ludowej całego prawie otoczenia Tatr, bez względu na granice państwowe, jakie kiedykolwiek były. W czasach obecnych, gdy każda narodowość się wyodrębnia, staramy się o czystość języka i szukamy jego pierwowzorów w gwarze ludowej. Dla odrodzenia sztuki również sięgać powinniśmy do tej skarbnicy, do ludu, aby nadać naszej sztuce swoistą cechę. Młodzież szkolna powinna być zawczasu i gruntownie zaznajo-

miona z okazami sztuki ludowej, jest to bowiem podstawa do wychowania w kierunku patryjotycznym i estetycznym.

Dzieło to powinno się znaleźć w bibliotekach nietylko szkół artystyczno-przemysłowych i zawodowych, ale i wszystkich tych, gdzie nauka rysunków jest wprowadzona, jako przedmiot obowiązujący.

*Dr. Stanisław Kopczyński. „Jak ustrzec dzieci i młodzież od nerwowości?”*

Autor, opisawszy na przykładzie, wziętym z życia obserwowanego przezeń osobnika, najróżnorodniejsze przejawy nerwowości w wieku dziecięcym i młodzieńczym—podaje następnie środki zaradcze przeciw nerwowości, jak: dbałość o dostateczny sen, unikanie alkoholu, zaniechanie straszenia dzieci, ciągłego ich bawienia, nadmiernego rozbudzania fantazji; potrzeba konsekwencji w postępowaniu z dziećmi, nieprzeciążanie ich nauką, otoczenie ich specjalną opieką w okresie dojrzewania; dbałość o wychowanie fizyczne i t. p. W końcu autor porusza nieszczęsna sprawę samobójstw wśród dzieci i młodzieży.

Niewielka, a pełna treści broszura porusza zagadnienia, niezmiernie interesujące każdego wychowawcę, powinna się przeto znaleźć w ręku tych wszystkich, co dbają o zdrowie fizyczne i moralne dorastających pokoleń.

## Z TEATRÓW

### TEATR LETNI

„Kredowe Koło”—poemat dramatyczny w 5 aktach, według chińskiej legendy *Klabunda*—przekład *M. Szwarcowny*—partje liryczne i sceny poetyckie przełożył *Józef Jedlicz*.

Typowy produkt umysłu niemieckiego, który najświeższe kwiaty legendy zdolny jest zasuszyć w papierze książki. Tak powstało „Kredowe Koło”, w którym czysta poezja sąsiaduje ze zmartwiałym produktem mózgowym, jak kwiaty z bibułą we wzorowym zielniku. Taki jest jednak silny czar chińskiej legendy, że nie zdołały go zatrzeć ani niefortunnie rymowane tyrady moralizatorskie, ani ton fałszywej demagogji, przylepionej do egzotycznego oblicza sztuki, jak rzymski nos do płaskiej twarzy chińczyka.

Postać bohaterki—męczennicy, pojętej w duchu chińskiego ideału kobiecości, znakomicie odtworzyła p. Ola Leszczyńska. Trochę było trudno przedstawicielce rozwydrzonych garsonek wcielić się w heroizm poświęcenia bez granic i słodkiej, a niezrozumiałej dla kobiety Zachodu—bierności, ale poradziła sobie intuicyjnie w sposób najtrafniejszy. Podeszła do roli od strony zewnętrznej sylwetki, dała śliczny obrazek, a z obrazka wyfrunęła dusza gołębiczy. Z banalnego założenia sztuki wynika, że całe otoczenie tej uciemnionej niewinności, oprócz jej cesarskiego kochanka, musi się składać z potworów w ludzkim ciele, wobec

czego zadanie innych artystów było uproszczone: musiało iść po linii oględnej szarzy.

Tony najbardziej chińskie udało się wydobyć p. Bay-Rydzewskiemu w roli mandaryna. Pozostali artyści miotali się między groteską, a poetyckiem zakłamaniem autora.

Efektowne dekoracje Drabika, utrzymane w stylu operowym, same przez się stanowiły prawdziwą ucztę dla oka, ale do inscenizacji sztuki wprowadziły jeszcze jeden odrębny ton, niezupełnie licujący z charakterem sztuki. Miały jednak jedną uboczną zaletę: odwróciły uwagę widzów od fatalnych błędów autora i tłumaczy, którzy sprzysięgli się na to, aby językowo obedrzeć sztukę ze wszelkiego uroku. S. P. O.

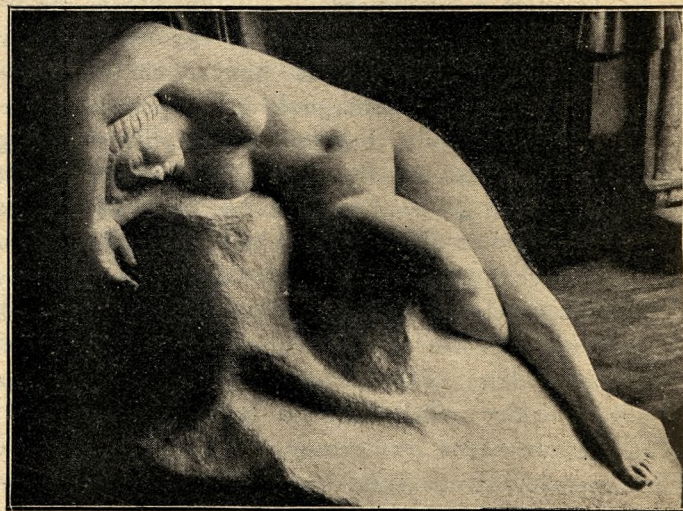
## „EWA”—EDWARDA WITTIGA

W dn. 11 czerwca r. b. w Parku Trocadéro w Paryżu ma nastąpić uroczyste odsłonięcie rzeźby prof. Edwarda Wittiga „Ewa”, zakupionej przez rząd francuski. Będzie to pierwsze dzieło polskiego dłuta, umieszczone nie w dusznych ścianach muzeum, ale pod odkrytym niebem stolicy świata, w najbliższym sąsiedztwie placu Warszawskiego („Place de Varsovie”).

Pół leżąc, pół siedząc na cokóle, w którym różnić można zarysy ściętego pnia, Ewa zasnęła. Wypoczywa przed nieznanym trudem po nieświadomym grzechu. Jedna ręka, przerzucona przez głowę w sennym odruchu, stanowi harmonijne zamknięcie płynnej linii całego ciała. W tem ciele niema nic zwierzęcego: jest bezwład roślina, która kwitnie i owocuje, zgodnie ze swem przeznaczeniem.

Nie z piany morskiej, jak Wenus, ale z soczystej murawy wyłoni się, kuta w kamieniu, matka rodzaju ludzkiego, bliska tej ziemi, z którą jest zrosnięta nierozzerwalnymi węzłami płodności.

Pod dalekim niebem Paryża świadczyć będzie o siłach żywotnych Polski odrodzonej.



„Ewa” prof. Edwarda Wittiga

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### PIELGRZYMKA ZWIĄZKU POLEK AMERYKAŃSKICH W STOLICY POLSKI

Uroczyste powitała w d. 30 maja stolica Polski amerykański Związek Polek, pielgrzymujący z za oceanu do „starego kraju”, który niejedną z uczestniczek wycieczki ujrzała poraz pierwszy.

O g. 10-ej zrana ks. biskup Gall odprawił uroczyste nabożeństwo w katedrze. Amerykański gwiazdzisty sztandar załopotał zgodnie ze sztandarami polskich organizacji kobiecych, kiedy ks. poseł Nowakowski w podniosłym kazaniu rzekł do przybyłych: „aby pamiętali o tem, że sercem jedni, duszą jedni i wiarą jedni być mają; a wtedy dopiero ci, których kości rozsypane są po całym świecie w służbie dla ojczyzny, przyznają się do was i zaświadczać przed Bogiem: jakoś nas, Panie, nauczył, tako i pokolenia nasze żyją”.

Po mszy św. nastąpiło poświęcenie nowego polskiego sztandaru Związku Polek przez biskupa Galla, który w serdecznym przemówieniu podniósł znaczenie sztandaru w życiu stowarzyszeń. „Sztandar—to symbol tego, skąd idziecie i dokąd dążycie. Niech dla was on będzie symbolem pracy, ofiary i wytrwania!”

Po odśpiewaniu „Boże, coś Polskę” uroczyste pochod ruszył z Katedry pod pomnik Mickiewicza i do grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie złożono wieniec.

O g. 12 i pół nastąpiło uroczyste zebranie w sali Rady Miejskiej. Orkiestra wykonała hymny: polski i amerykański. Przemówienia powitalne wygłosili: jako gospodarz stolicy pan Słomiński, przedstawiciel M. S. Z., ks. Niemira, jako radny miejski i senatorka Szebekówna w imieniu komitetu przyjęcia.

Nastąpiła wzruszająca chwila wręczenia od polskich organizacji kobiecych wstęg pamiątkowych, które doczepiono do sztandaru polek amerykańskich na znak siostrzanego zjednoczenia.

Przewodnicząca Związku Polek ameryk., p. Napieralska, w dłuższym przemówieniu scharakteryzowała uczuciową postawę Polonji z za Oceanu wobec macierzy, poczem udekorowała honorowymi odznakami Związku organizatorów przyjęcia, każdego dając miłym i trafnie obmyślonem słowem.

Wieczorem uczestniczki wycieczki były obecne na przedstawieniu „Syreny” w teatrze Wielkim.

W d. 31 rano zajęty był zwiedzeniem Warszawy. O g. 4 m. 30 nastąpiła audjencja u Prezydenta Rzeczypospolitej i podwieczerek u Pani Prezydentowej. Zaroiły się sale i tarasy zamkowe od zamorskich gości, którzy z rozrzewniającą prostotą garnęli się do dostojnych gospodarzy, radośnie korzyli się przed Sercem Kościuszki w kaplicy zamkowej i paśli oczy, Polski zgłodniałe, urokiem zamkowego wnętrza.

Po podwieczorku pielgrzymi, ustawivszy się karnie czwórkami pod przewodnictwem p. Napieralskiej, która, jak doświadczony generał, czuwała nad porządkiem swej małej armji—ruszyli Krakowskim Przedmieściem do kościoła św. Krzyża na ostatnie majowe nabożeństwo.

Hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła” żegnali gościnne progi zamkowe ci, co na obczyźnie w sercach swoich Polsce zginąć nie dali.

W dn. 1 czerwca w sali Rady Miejskiej odbyła się uroczysta Akademia. Zagaiła ją honorowa przewodnicząca komitetu przyjęcia pielgrzymki, Marja Rodziewiczówna, pełnym zapału przemówieniem o sile żywotnej narodu polskiego.

„Niezmożona jest Polska i nie zginie—bo bardzo kochana!”—mówiła czcigodna autorka „Dewajtisa”. „Nabierzcie, goście-swojacy, tego kochania z tchem pól, z posilnością polskiego chleba, z czarem polskiego słowa i pieśni! I niech na samym dniu waszej duszy zostanie na życie całe to kochanie, najświętsze i najdostojniejsze dla człowieka, gdzieby go los nie postawił:—Kochanie ziemi-Macierzy i jej honoru! Tak nam dopomóż Bóg i Częstochowska nasza Królowa!”.

Następnie radna pani Jętkiewiczowa rozwinęła przed zgromadzonymi ogrom zadań, które przed polską kobietą stają, obraz tych wysiłków, jakich wymagają od niej różne dziedziny życia społecznego w kraju.

Rolę kobiet w historii Polski z gorącym uczuciem przedstawiła dr. Marja Śliwińska, wykazując, na mocy jakich zasług kobieta polska uzyskała równe prawa obywatelskie w odrodzonej ojczyźnie.

Wreszcie p. Napieralska z głębokim wzruszeniem złożyła hołd Marji Rodziewiczównie, jako tej, która „za Oceanem słowem swem budzi uczucie miłości do ziemi polskiej i bogatej polskiej mowy”, kończąc zapewnieniem, że pielgrzymka wróci do Ameryki dumna, że „Polska wasza — to Polska nasza”.

Przed rozpoczęciem Akademii wszystkie uczestniczki pielgrzymki otrzymały na pamiątkę Nr. 23 „Bluszczu”, specjalnie im poświęcony.

Wieczorem odbył się w serdecznym nastroju raut w Resursie Obywatelskiej, urozmaicony chórem „Lutni”, śpiewem p. Balińskiej i grą p. Robowskiej. Zabawa, zakończona tańcami, przeciągnęła się do późnej nocy.

W dn. 2 czerwca popołudniu wycieczka była podejmowana przez p. Marszałkową Piłsudską w Belwederze. Zebranie to stało się terenem zaznajomienia się rodaczek z za oceanu z hasłami tych ugrupowań kobiecych, które w czasach przedwojennych rozpoczęły niepodległościową robotę konspiracyjną. Niespodziewanie zjawił się w tem niewieścim zgromadzeniu Marszałek Piłsudski, oddawna już niewidziany w szerszym gronie z powodu choroby—co wywołało powszechne wzruszenie i entuzjastyczne okrzyki.

Pani Napieralska wręczyła obojgu pp. Marszałkostwu odznaki pamiątkowe Związku Polek.

W dn. 3 czerwca w niedzielę wieczorem w sali Pompejańskiej hotelu Europejskiego p. Napieralska wydała raut pożegnalny, na który przybyły przedstawicielki prasy i 22 organizacji kobiecych

W części koncertowej gorące uznanie wzbudził występ 9-letniej poetki, Mani Jakubowskiej z Pittsburga, która wygłosiła wierszyk patriotyczny.

W dłuższym przemówieniu pożegnalnym p. Napieralska, dziękując za serdeczne przyjęcie i trudy komitetu, gorąco nawoływała do zgodnej współpracy nad rozbudową państwa polskiego, podkreślając bezpartyjny charakter Związku Polek amerykańskich.

Wśród toastów i śpiewów chóralnych wytworzył się nastrój pełen serdecznej zażyłości, który zjednoczył gości z gospodarzami, utrwalając ideowe znaczenie pielgrzymki, jako mostu, przerzuczonego przez ocean między Polską, a emigracją amerykańską. Niewątpliwie bliskie już inne wycieczki rodaków naszych z Ameryki, wzmocnią i zacieśnią tak pomyślnie zawiązane stosunki. S. P. O.



Pielgrzymka amerykańskiego Związku Polek składa wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza

WALNE ZEBRANIE POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

Dnia 2 i 3 czerwca r. b. Polska Macierz Szkolna zwołała walne zebranie swoich członków. Chodziło Towarzystwu o nakreślenie planów dalszej pracy, a jednocześnie o zaznajomienie społeczeństwa z dotychczasową działalnością Macierzy. Ci, którzy pamiętali ważność pracy Macierzy za czasów niewoli, gdy była ona prawie jedyną krzewicielką polskiej oświaty i kultury, z radością skonstatowali, iż Towarzystwo Polskiej Macierzy Szkolnej z ogromną łatwością i wnikliwością przystosowało się do warunków nowej pracy i stworzyło sobie nowe cele, do których świadomie i konsekwentnie dąży.

O ideologii Macierzy najlepiej pouczył zebranych referat p. Józefa Stemlera na temat: „Aktualne formy pracy społeczno-oświatowej”. Prelegent, co prawda, w całym swoim przemówieniu ani razu nie użył słowa — „ideologia”, zastępował je słowem — „praca” — tem nie mniej, a może właśnie dlatego zebrani doskonale mogli zdać sobie sprawę, na czym właśnie ta „praca” Macierzy polega.

Mówca scharakteryzował ideologię Macierzy i kierunki jej działania. Następnie zreferował nową, obowiązującą obecnie w Macierzy, strukturę organizacyjną. W ramach tej sieci organizacyjnej najważniejsze formy, podane przez prelegenta na okres najbliższy, są następujące: rozbudzające: wykłady oświatowe, oparte na nowej technice organizacyjnej, której zasady referent przedstawił; uroczystości narodowe z okazji dziesięciolecia Państwa Polskiego; zużytkowanie radja w pracy Kół i Czytelni; nauczające: kursy przysposobienia obywatelskiego, niedzielne szkoły obywatelskie, ogniska terminatorskie, bibliotekarstwo; z zespołów: teatry amatorskie. Delegaci otrzymali broszury, traktujące szczegółowo o podanych formach.

Znakomite ilustracje przykładowe prelegenta wywołały ogromne zainteresowanie. Dyrektor Stemler przedstawił wzory budownictwa Macierzy, demonstrując plan „Domu Macierzy” w miastach i „Chaty Macierzy” na wsi.

Po referacie wywiązała się dyskusja, w której wzięli udział liczni delegaci.

Następnie zebrani przeszli do sali Teologicum (ul. Traugutta 1), gdzie wyświetlono interesujący film oświatowy: „Danja—kraj, ludność i kultura”.

Drugiego dnia wyczerpano dalszy ciąg obrad porządku dziennego, a mianowicie: dokończono dyskusję, przyjęto sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok 1927, wykazujące jego rozwój, zreferowane przez sekretarza Zarządu Głównego, p. Jana Korneckiego; przyjęto wnioski Komisji Rewizyjnej, oraz dokonano wyborów uzupełniających członków Zarządu Głównego, zastępców, oraz komisji rewizyjnej. Do Zarządu Głównego wybrano ponownie pp. Bojasińskiego, M. Gładysza, J. Henneberga, S. Kwiatkowskiego z Warszawy; B. Krupińskiego z Sosnowca, dr. J. Świeżyńskiego z Sądłowic, M. Starczewską z Kamienia-Koszyrskiego i S. Wroncką z Radomia. Na zastępców: pp. A. Adama i J. Luxa z Warszawy, I. Bobka z Białej Podlaskiej, Z. Domańskiego z Nieświeża, dr. W. Eichlera z Pabjanic i Z. Kaczyńską z Piotrkowa. Komisję Rewizyjną stanowią: pp. J. Dmochowaki, P. Drzewiecki, H. Kozieradzki, ks. pos. M. Nowakowski i W. Sołtan.

Zebranie zamknął prezes Macierzy p. J. Świeżyński gorącymi życzeniami owocnej pracy.

Delegaci Zebrania Zwiedzili Wystawę Łowicką (ul. Krakowskie-Przedmieście 7, m. 4), która budzi ogólny podziw i zainteresowanie.

SZKOŁA PRACOWNIC SPOŁECZNYCH

Z dniem 1 września 1928 r. powstaje w Warszawie nowa uczelnia, o charakterze szkoły zawodowej dla kobiet, pod nazwą „Szkoła Pracownic Społecznych”. Szkoła ta wyrasta z istotnej,

głęboko już obecnie odczuwanej potrzeby kształcenia fachowych pracowniczek, dla rozmaitych gałęzi pracy społecznej.

„Szkołę Pracownic Społecznych” zakłada Polska Macierz Szkolna w lokalu przy ulicy Złotej 14. Kurs nauk dwuletni obejmuje program, opracowany na podstawie doświadczenia, znajomości polskiego gruntu i jego potrzeb społecznych, uwzględniając przytem już istniejące wzory zagraniczne. Szkoła przygotowywać będzie: 1) sekretarki instytucji społecznych i instruktorki pracy społeczno-oświatowej, 2) bibliotekarki, 3) pracownice księgarskie. W miarę rozwoju, zostaną otwarte inne działy dla pracownic służby społecznej.

Uczennicami szkoły mogą być osoby w wieku od lat 16, które ukończyły conajmniej kurs 6 klas średnich zakładów naukowych. Osoby, nie posiadające wymienionych studjów, mogą być przyjęte w charakterze słuchaczek nadzwyczajnych na podstawie egzaminu.

Kierownictwo szkoły objęła Dr. Marja Śliwińska-Zarzecka.

Nowopowstająca szkoła nietylko wypełnia istniejącą u nas lukę, w zakresie kształcenia wykwalifikowanych pracowniczek, lecz także stwarza potrzebny typ szkoły żeńskiej. Kiedy absolwentki gimnazjów, otrzymawszy świadectwo dojrzałości, nie są przygotowane do określonej pracy i z trudnością dostać się mogą na studia wyższe, które w niewielkiej ilości kończą, — rówieśnice ich, absolwentki Szkoły pracownic społecznych, otrzymawszy fachowe przygotowanie do określonej pracy, kończąc Szkołę pracownic społecznych równocześnie ze swoimi koleżankami - maturzystkami, będą mogły obejmować odpowiednie do ich przygotowania posterunki pracy zawodowej.

Szczegółowych wiadomości w sprawie programu i opłat udziela, oraz zapisy do szkoły przyjmuje: Biuro Polskiej Macierzy Szkolnej, ul. Krakowskie-Przedmieście 7, II piętro. Zapisy trwać będą do końca czerwca 1928 r.

KURSY DOKSZTAŁCENIA SANITARNEGO  
DLA NAUCZYCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH

Wzorem lat ubiegłych odbędą się w Państwowej Szkole Higieny (Warszawa, Chocimska 24) dwa kursy wakacyjne: I-szy od 9—28 lipca, II-gi od 6—25 sierpnia r. b.

Każdy kurs będzie obejmował 4 działy: 1) nauk przyrodniczych (biologję, anatomję i fizjologję, bakterjologję i naukę o odporności, higienę odżywiania, higienę pracy umysłowej); 2) metodyki nauczania higieny i wychowania higienicznego; 3) higieny publicznej (uzdrowotnienia miast i wsi, higienę budynku szkolnego i jego otoczenia); 4) higieny społecznej (zwalczanie ostrych chorób zakaźnych, gruźlicy, alkoholizmu i innych klęsk społecznych, higienę dziecka i pielęgniarstwo społeczne).

Dla pewnej liczby (do 60) słuchaczy (ek) każdego kursu, którzy nie będą mogli znaleźć pomieszczenia w lokalach prywatnych w Warszawie, Dyrekcja Państwowej Szkoły Higieny rezerwuje lokale burs, gdzie pobyt całodzienny w warunkach bardzo dogodnych, łącznie z żywieniem, wynosić będzie 5 zł. 50 gr. dziennie. Nauczanie na kursach jest bezpłatne.

Zgłoszenia na formularzach kart wpisowych na kursy wakacyjne kandydaci winni przesyłać przed dniem 10 czerwca r. 1928, za pośrednictwem Inspektoratów Szkolnych, do Dyrekcji Państwowej Szkoły Higieny, zaznaczając, na który z tych kursów reflektują i czy proszą o zapewnienie im bursy.

Wraz z kartą wpisową kandydat winien złożyć w biurze Inspektora Szkolnego 10 (dziesięć) złotych wpisowego.

O zakwalifikowaniu na kurs, oraz o ewentualnem przyjęciu do bursy kandydaci zostaną powiadomieni za pośrednictwem Inspektoratów Szkolnych do dnia 20 czerwca roku 1928.



## LIST Z PARYŻA

### DROGA LILII

W każdym liście zamęczasz mię pytaniami: „Co się nosi w Paryżu?“, „Czego się już nie nosi?“ i „Co się będzie nosiło?“ Postaram się odpowiedzieć Ci na te pytania. Przedewszystkiem—Paryż jest krajem, który mieści w sobie kilka miast, o zupełnie różnej publiczności. Jeśli Ci chodzi o modę np. w Quartier Latin, to uspokój się: Twój przeszłoroczny płaszcz z kasha z kołnierzem ze szczura będzie wzbudzał szacunek w głodnych studentach i studentkach, którzy przeważnie zamieszkują tę dzielnicę. Jeśli zaś chodzi Ci o modę na rue de la Paix, rue Rivoli, Place de la Concorde ect., to najlepiej będzie, jeśli zbierzesz się na odwagę i wejdiesz na piętro, do któregoś z tych wielkich „faiseurów“ jak: Patou, Premet, Chanel, Lanvin, etc. „Pyta się pani o cenę tej petite robe?“ — odpowie na twoje zapytanie dama sklepowa. — „Oh! to bardzo tania sukienka; kosztuje tylko 10.000 franków“ — A spostrzegłszy twoją strapioną minę i nosy bucików, skierowane ku wyjściu, doda — „Dla pani wyjątkowo 9999 fr. Czy pani chce ją przymierzyć, czy też mamy ją odesłać z rachunkiem do hotelu?“! — Naiwną cudzoziemkę często zmuszają do przymierzenia sukni, poczem, gdy skonstatują, że leży bez zarzutu, pakują ją bez słowa do pudła. „L'adresse de Madame?“ — pyta się kierowniczka firmy z uśmiechem Judasza, zwykle umalowana baba koło pięćdziesiątki, o oczkach okrągłych i świecących, jak pieniążki. Wtedy, oczywiście, dla osoby bez pieniędzy jedynym wyjściem z tej groźnej sytuacji jest wyjść z magazynu z godnością, bez pożegnania, nie śpiesząc się zbytnio, żeby to nie wyglądało na ucieczkę. Można także do tych niebezpiecznych wycieczek po magazynach uzbroić się w którąś ze swych bogatych znajomych (o ile stać kogoś na taką), która ubiera się w jednej z tych wielkich firm, i bezkarnie obejrzeć najładniejsze modele. Będą Cię traktować pobłaźliwie i protekcyjnie, wszystkie komplementa będą skierowywane do bogatej znajomej — ale nic sobie z tego nie rób: co sobie upatrzysz, tego Ci już nie odbiorą, (choć wszędzie leżą tablice z napisami: „Copier c'est voler“).

Wszystkie przeważnie wielkie firmy paryskie wyrabiają teraz własne perfumy. Firma Chanel wyrabia zawrotnie piękne wonności, których kryształowe flakony noszą zamiast nazwy tylko numery. Jeśli chcesz zaimponować krajowym snobom, to powiedz im, że używasz perfum Chanel'a nr. 5. A tymczasem kupisz sobie dwa małe flakoniki perfum Cotty'ego i zmieszasz razem: efekt napewno będzie podobny. Perfumy Chanel'a, tak samo, jak inne wyroby wielkich magazynów mód, działają odurzająco pod względem cen.

Ale wróćmy do sukien. Przedewszystkiem na scenie i na ekranie jest moda inna, a dla cywilnych

osób też — inna. Sądząc z ekranów filmowych można u nas w Polsce przypuścić, że modne są długie suknie, oblepiające figurę, stany na swoim miejscu i długie włosy. Tymczasem moda dla prywatnych osób zagranicą nie zmienia się tak bardzo, jakby nam się zdawało. Wszystko jest w dalszym ciągu krótkie, i suknie, i włosy — o żadnych loczkach niema mowy. (Moje kędziorki, sięgające już do ramion, zostały od razu skurtyzowane z pasją przez paryskiego fryzjera).

Ensemble — to znaczy suknia i płaszcz, albo dżemper, spódnica i kabacik — są bardzo modne. W tych ensemblach widać dużo kombinacji crêpe-satin z wełną. Wogóle wełny i crêpe „à la chine de laine“ będą na upały najmodniejszym materiałem (poczciwa moda pewno myślała o naszym klimacie, lansując ten nowy pomysł!) Trykoty bywają przetykane złotymi i srebrnymi nitkami. Jeden elegancki „sprzedawczyk“, widząc moją smutną minę z powodu wysokich cen tych nowych wełnianych materiałów, pocieszył mię, że crêpe Juliette, prawdziwy surowy jedwab, koronki i jedwabny materiał Sultane, haftowany u dołu wschodnim haftem — też będą bardzo noszone tego sezonu. Miałam ochotę spytać się go, czy pieniądze też będą noszone tego roku przez „Matkę - Polkę“, ale skąd on mógłby coś o tem wiedzieć?!

Rodier wyrabia (a raczej gotuje) dużo „kasz“ w poprzeczne pasy i kwiaty ze smokami. Ale do noszenia takich „kasz“ w pasy musisz jeszcze schudnąć o kilka kilo. — Nie wierz plotkom, jakoby zagranicą kobiety chude przestały być modne: moda idzie ciągle w kierunku spłaszczenia kobiety i zredukowania jej do szwedzkiej zapałki. Żaden, nawet nie szanujący się, cudzoziemiec nie powie Ci przez uprzejmość tego, co Ci powie niejeden polak: „Ach! my, panowie, wolimy stokroć okrągłe i dobrze odżywione kobiety“... Otóż o „dobrem odżywianiu“ niema mowy, jeśli chcesz być kobietą elegancką. Jedzenie zagranicą dawno wyszło z mody. Tak, moja droga! zamiast skrobanego befsztyczka — poskrob sobie rzepkę lub marchewkę; nagotuj sobie tak modnego obecnie groszku lub fasolki; zawiesziste zupy i mięso zostaw tym paniom, które chcą podobać się tylko polskim panom starej daty.

(d. n.)

M.



## KOBIETY NA II ZJEŹDZIE NAUKOWEJ ORGANIZACJI

Naukowe metody organizacji w górnictwie, technice, kolejnictwie, kierownictwie i pracy fabrycznej, biurowości, szkolnictwie—omawiane w kilkudziesięciu fachowych referatach na II-gim polskim Zjeździe Naukowej Organizacji, jaki odbył się w Warszawie w pierwszych dniach maja, zainteresowały tylko w nieznanym stopniu kobiety; prawie wyłącznie kobiecą była natomiast Sekcja Naukowej Organizacji Gospodarstwa Domowego. Nie znaczy to, by udziału w pracach tej sekcji nie brali mężczyźni—lecz ton i charakter nadały jej panie.

Sekcja gospodarstwa domowego nie była liczna, ale 20—30 pań, które ją składały, to były wytrawne już działaczki i samodzielne siły na polu nowoczesnego gospodarstwa domowego. Każda z nich wniosła w dyskusję własną inicjatywę, bądź pewne wyniki osobistych doświadczeń i badań—a naogół u wszystkich przebijało zrozumienie państwowych, ekonomicznych i społecznych motywów podjętej pracy.

Przez ręce kobiet, jako zawiadowczyń domu, przechodzi 60—70% dóbr całego kraju; przez ich ręce przepływają olbrzymie, miliardowe sumy. Z umiejętnego, oszczędnego gospodarowania wynika tedy wzmożony pożytek z dóbr i możliwość użytkowania pieniądza tak, aby bogaciły się jednostki, rodziny i całe społeczeństwo. A wszak dobrobyt powszechny obywateli jest w obecnej chwili jednym z celów, do którego słusznie wzdychamy w Polsce, czując, że nietylko życie społeczne, lecz i siła państwowa na mocnej podwalinie gospodarczej zyskać musi. Jak to osiągnąć—zdają sobie sprawę nieliczne jeszcze jednostki wśród kobiet, które na serjo pojmują swe zadania gospodyni domu.

Gospodarstwo domowe jest umiejętnością, jak każda inna, i, na szczęście, powszechny jest już pęd wśród kobiet, aby uczyć się gospodarstwa domowego. W nauce zaś tej najbardziej nowoczesne, nieocenione wartości wychodzą na jaw, dzięki naukowej organizacji.

Naukowa organizacja, jako taka, nic nie kosztuje i nie wymaga inwestycji. Można ją zastosować z doskonałymi wynikami zarówno w najmniejszym i najskromniejszym ognisku rodzinnym, jak i w ogromnym, uposażonym w maszyny mechaniczne i elektryczne, gospodarstwie. Polega ona na szeregu uproszczeń pracy, oszczędności ruchów, na lepszym wykorzystaniu produktów, doskonałym rozkładzie czasu. Trzeba tylko poznać te metody, wylęglę zresztą głównie w Ameryce, i chcieć je zastosować.

Terenem, skupiającym wiedzę nowoczesnej organizacji gospodarstwa, jest u nas doskonale redagowany miesięcznik: „Organizacja Gospodarstwa Domo-

wego, którego redaktorka, p. Irena Szumlakowska, wygłosiła na Zjeździe referat i wysunęła tezy, konieczne dla zreformowania pracy domowej, obarczającej głównie kobiety.

P. Szumlakowska domaga się:

1) wprowadzenia ułatwień technicznych, do których zalicza: właściwe planowanie i budowanie domów i mieszkań, ulepszanie narzędzi i przyrządów do pracy domowej, oraz stosowanie, o ile możliwości, maszyn i elektryczności;

2) organizowania współpracy kobiet i centralizowania niektórych prac domowych—a to przez tworzenie spółdzielni gospodyń dla wspólnych zakupów, wyrobu konserw it. p., oraz otwieranie dużych centrali pralni mechanicznych, central ciepła półfabrykatów spożywczych i t. p.:

3) tworzenia laboratorjów, które wypracowywałyby wzorowe metody pracy i przyrządy gospodarskie i t. p.

4) zreformowania nauki gospodarstwa domowego w szkołach i wprowadzenia „dormoznawstwa“ do szkół wyższych.

P. Marja Karczewska, przedstawicielka Związku Ziemiarek, opracowała referat o organizacji gospodarstwa na wsi. Podkreśliła zadania przetwórcze i wytwórcze dla celów zaopatrzenia rynku handlowego w jaja, drób, wędliny, owoce, warzywa, w przetwory owocowe i warzywne, oraz wyroby tkackie. Położyła nacisk na konieczność zreformowania szkół rolniczych i tworzenia różnych kursów gospodarczych na wsi, wprowadzenia do uniwersytetów nauki gospodarstwa domowego (katedry takie istnieją w Ameryce) i stworzenia laboratorjum gospodarczego i stacji prób.

Jako postulaty najpilniejsze—bardzo zresztą charakterystyczne dla prymitywnego stanu naszej wsi—p. Karczewska wysunęła: zaopatrzenie wsi w wodę, opracowanie racjonalnych planów domu i zagrody włościańskiej, tworzenie spółdzielczych pralni, piekarni, kąpieli w gminach wiejskich, dobór narzędzi, badanie środków spożywczych.

P. inż. Machalski mówił o układaniu budżetów domowych, wysuwając pewien system procentowy podziału wydatków na mieszkanie, utrzymanie, odzież, potrzeby kulturalne. Teza ta była dość ostro skrytykowana w dyskusji, aprobatę zebranych pań zyskała natomiast myśl układania okresowych planów wydatków i skrupulatnego prowadzenia rachunków. Żywo wypowiedziano się na temat układania wzorowych jadłospisów, dostosowanych do pory roku i kieszeni. Podkreślono konieczność notowania wyników doświadczeń w tym zakresie i ogłaszania ich przez poszczególne gospodynie w piśmie—„Organizacja Gospodarstwa domowego“—dla ogólnej wiadomości i pożytku.

P. Hanna Koryzna poruszyła w referacie swym kwestję wspólnej, czy oddzielnej kasy męża i żony

w gospodarstwie domowym, wykazała złe i dobre strony obu systemów — doszła jednak do wniosku, iż wspólna kasa jest niemożliwa w małżeństwach, w których podstawą bytu są przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe. W wypadkach tych konieczny jest podział dochodów, w celu osiągnięcia normalizacji gospodarstwa domowego, co jest postulatem nowoczesnej gospodarki.

Jadwiga Krawczyńska.



## ZDOBIENIE BALKONÓW ROŚLINAMI

Śnać przeznaczeniem człowieka jest współzycie z przyrodą roślinną, bo nietylko, oderwany od niej, zamknięty wśród murów miasta, tęskni człowiek „do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem, wyłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem” — ale nawet mieszkańiec wsi zdobi swe pokoje roślinami i rozstawia chętnie wazy z kwiatami ciętymi.

Niedarmo też we wszystkich literackich opisach mieszkań nawet skromne, ubogie izdebki mają kwiaty na oknach. Niedarmo nasz wieszcz oczyma duszy w pokoju Zosi widział „na oknach doniczki z kwitnącymi ziołki: geranium, lewkonie, astry i fiołki”. I przyznacie, Szanowne Czytelniczki, że mieszkanie bez kwiatów staje się sztywne, surowe, że wieje zeń jakaś martwota. Przyznacie, że z zachwytem nieraz zatrzymujecie się przed oknami chatynek, nawpół zapadłych w ziemię, żeby podziwiać maleńkie ich szybki, barwne, jak najpiękniejsze witraże, bo oblepione kolorowem kwieciami pelargonji, ułanek, kampanuli lub oleandrów.

I mimowoli budzi się przypuszczenie, że za temi szybkami mieszkają dobrzy ludzie, o szlachetnych sercach i czystej duszy. Bo kwiat, tak samo, jak dziecko, musi być miłością otoczony, żeby mógł się bujnie i zdrowo rozwijać; a ponieważ miłość do przyrody jest uczuciem czystym i wzniosłym, więc tylko w sercach dobrych ludzi znajduje grunt, dla siebie przyjazny.

Ale nietylko na oknie, w doniczkach, mogą być pielęgnowane rośliny. Przez całe lato mamy możliwość powiększania ram naszego ogrodu domowego, zdobiąc roślinami, pasadzonemi do skrzynek, okna i balkony.

Balkon, umiejętnie opięty żywymi roślinami, przekształca się w zaciszną altanę i tworzy jeden więcej pokoi, bodaj najmiłszy z całego mieszkania w okresie lata. Gdy wśród ścian duszno i gorąco, pomimo otwartych okien — na balkonie chłodzi ożywczy przewiew, liście zatrzymują piekące promienie słońca,

wilgoć, parująca z ziemi i roślin. ułatwia oddychanie, a kwiaty pachną. Na dobrze urządzonym balkonie można się ukryć przed ciekawym wzrokiem sąsiadów i po całodziennej pracy szukać wypoczynku we własnym ogródku. Wygodny fotel, obok stolik, na nim szklanka herbaty, ciekawa książka... zawieszona wśród liści żarówka elektryczna sączy łagodne światło, stonowane zielenią roślin... Czy to nie uroczy obrazek?

Czy nie zdoła on zachęcić do poświęcenia odrobiny trudu i kosztów? Czy nie poruszy on tych przynajmniej, w których sercach tkwi choć drobne ziarenko miłości dla roślin i tęsknoty do bezpośredniego obcowania z przyrodą?

A rośliny mają przecież tak skromne wymagania! Tak łatwo zadość uczynić ich potrzebom, a tak hojnie potrafią się wywdzięczyć za podjęte dla nich starania!

Ale zdobienie w miastach balkonów i okien ma jeszcze drugie, szersze znaczenie. Wykracza ono po za ramy interesu jednostek, gdyż wpływa na ogólny wygląd ulic. Żeby wykazać nasze zacofanie, ubóstwo naszej kultury, niedorozwój naszych potrzeb estetycznych — każą nam krytycy obecnego stanu rzeczy szukać porównań z zagranicą. Istotnie, jest tam zupełnie inaczej. W wielkich miastach nietylko pojedyncze balkony są obficie przystrojone zielenią i kwieciami, ale właściciel frontowego mieszkania często ubiera skrzynki, umocowane pod oknami, tak samo, jak balkonowe. Nieraz mieszkańcy całego domu zdobią wszystkie balkony jednakowo, co przechodniom zdaleka rzuca się w oczy. Niekiedy łączą lekką drewnianą kratą, albo niewidoczną plecionką z drutów balkonny, umieszczone jeden nad drugim. Bujne chmieliny pną się z piętra na piętro i tworzą kolumny zieleni, przerywane tu i owdzie smugą kolorowych kwiatów. A czasem całe ulice bywają jednakowo strojone.

Obrazów takich można jednak szukać nietylko w stolicach Zachodu. Tam nawet w małych miasteczkach domy stroją się zalotnie w kwiecie, aby do wspólki z panującą na każdym kroku czystością, z urządzeniami kulturalnemi, z bogactwem zieleni skwerów i ogrodów — umilać życie tym wszystkim, których z prowincją wiążą nierozzerwalne węzły ich zatrudnienia, i żeby nęcić do osiedlenia się w zaciszu, zdala od denerwującego zgiełku wielkich miast, tych wszystkich, którzy wycofali się z interesów i na resztę dni swoich szukają spokoju.

Ale czy po takie przykłady koniecznie musimy sięgać poza granice Polski?

Z prawdziwą radością, z dumą nawet, możemy twierdzić, że nie. Że dość rozejrzeć się po naszym kraju, aby i tu znaleźć wzory, zasługujące na pełne uznanie i godne naśladowania.

Kto zna Sołacz, nowoczesne miasto-ogród, nową dzielnicę willową Poznania, ten przyzna, że tonące w zieleni ogrodów domy są zamieszkałe przez ludzi,

szczerze kochających kwiaty. Balustrady i schody tarasów kryją się w powodzi zieleni; po ścianach pną się chmieliny, a ze skrzynek wzdłuż balkonów i okien spływają kaskady szkarłatnych pelargonij, ciemno fiołkowych lub jasnych kielichów zawieratek, roztopionem złotem lśnią zinję, albo żywym ogniem kwiecica płoną ukośnice.

Z jaką radością oko spoczywa w Krakowie na ścianach, obrośniętych winem, i na balkonach, ozdobionych żywymi roślinami. I to nie tu i owdzie, niby oaza na pustyni, kolorami tęczy mieni się balkon ubrany na nieskończenie wielkim obszarze szarych i nagich murów kamienic. Nie. Jest ich tam dużo. Są bogaciej i skromniej przystrojone, są otwarte zupełnie, tylko barwną linią kwiatów wzdłuż poręczy owite, a są umajone zielenią pnączy tak szczelnie, że i Amor swawolny, ustronnych chętnie szukający kryjówek, mógłby bezpiecznie tam swe figle płatać.

Lecz szukajmy jeszcze bliżej.

Zniesiono już kordony graniczne, które żywe ciało polskiej macierzy rwały wrażą przemocą na sztuki! Usilnem dążeniem, zarówno władz państwowych, jak i całego społeczeństwa jest zatarcie coprędziej różnic dzielnicowych i zjednoczenie kraju pod każdym względem. Cóż, kiedy wystarczy kongresowiakowi minąć Rozwadów i spojrzeć na dworce kolejowe w Małopolsce, żeby sobie uświadomić, iż wjechał między ludzi, wyrosłych wśród innej kultury! Oto pod oknami mieszkań urzędników kolejowych umocowano korytka, a w nich troskliwa ręka hoduje kwiaty. Lecz tego miejsca jej mało. Nad częścią podjazdu zwiesza się szpetny dach, miły dla podróżnych, bo chroni ich od deszczu, gdy w niepogodę muszą czekać na pociąg, lecz nieestetyczny dla oka. Żeby go więc ożywić, ustawiono na samym skraju, nad rynną, szereg korytek, z których witają i żegnają przejezdnych barwne kwiaty i pozostają na długo w ich pamięci, jako zewnętrzna oznaka kultury. Kwiaty w doniczkach, na oknach prywatnych mieszkań, kwiaty w korytkach gmachów stacyjnych, kwiaty w ogródkach, przylegających do dworca — świadczą wymownie, że ci nasi bracia, tej samej matki dzieci, serdecznie kochają rośliny i bez nich żyć nie mogą; że dusza polska nie jest na te uczucia nieczuła, że zarodek miłości dla świata roślinnego tkwi w niej — tylko jest uspiiony. Że potrzebuje tylko pewnego bodźca, aby się rozbudzić; obudzony zaś, rozbłyśnie płomieniem i, ciepłem żywym promieniując, wśród innych siać będzie zarzewie.

Więc niechże to zarzewie i u nas padnie na odpowiedni grunt do swego rozwoju. Jeżeli w innych połaciach naszego kraju zdobienie roślinami i zielenią się przyjęło, to należy dołożyć tylko nieco starań i dobrej woli, żeby się rozpowszechniło i w Warszawie.

(d. n.)

Stan. Schönfeld.



## CZWARTY ZJAZD CZESKICH GOSPODYŃ

W rocznicę dziesięciolecia Wolnej Rzeczypospolitej Czeskiej odbył się w Pradze czwarty zjazd czeskich gospodyń — skromny zjazd — nie kongres, jakby go gdzieindziej szumnie nazwano, gdyż wszędzie w Czechach jest nadzwyczaj skromne: bez pretensji, bez bicia na efekt. Obcych nie było; nie zapraszano ich zresztą specjalnie: — wszak chodziło o pracę wewnętrzną, dla siebie, dla dobra kraju. Wyjątek stanowiło grono zaproszonych Polek, obywatelki zaprzyjaźnionego, sąsiedniego narodu, które serdecznie, jak miłych gości witano, bo wiadano, że przyjechałyśmy, aby wiele rzeczy poznać i wielu nauczyć; chociaż bowiem Czechy, tak jak i Polska, święcą dopiero dziesiątą rocznicę swej niepodległości, jednak pod berłem Habsburgów z dużo większej korzystały swobody, niż my pod caratem, i znacznie dawniej nad rozwojem gospodarczym swego kraju pracować mogły. Dużo pracy, dużo wysiłku musimy zużyć, aby je dopędzić. A dopędzić musimy, jeśli chcemy iść naprzód, jeśli chcemy rozkwitu gospodarczego naszego kraju, jeśli chcemy osiągnięcia prawdziwego dobrobytu. Nie na Ameryce, tak różnej pod względem obyczajowym, nie na Francji ani na Belgji — wprawdzie wysoko kulturalnie stojących, lecz rasowo tak z nami różnych — nam się wzorować. Najlepszym wzorem pod względem gospodarczym pozostaną dla nas czesi. Rasowo pokrewni, bliscy sąsiedzi, trzeźwi, praktyczni, umiejący rachować — te trzy zalety szczególnież pożądanem byłoby od nich przejąć nam, przeważnie romantykom i, że tak grzecznie powiem, nieco lekkomyślnym w sprawach finansowych!

Pojechało więc nas około sześćdziesięciu pań i panien, starszych i młodszych, ziemianek, instruktorek kółek rolniczych, kierowniczek szkół gospodarczych i t. p. Program zjazdu był skromny: pierwszego dnia — zebranie dla wzajemnego zapoznania się przybyłych. Forma dosyć oryginalna i praktyczna.

W obszernej sali klubu Narodowego ponakrywane wzdłuż stoły. Największy, na sześćdziesiąt osób, był zarezerwowany dla polek (przyszło ich, niestety, zaledwie dziesięć: reszta, zmęczona całodziennym zwiedzaniem miasta, nie miała sił potemu). Wpoprzek sali — stół przydzielony, przy którym siedzą wszyscy prelegenci. Przy stołach jedzą lub piją goście, co każdy chce, oczywiście, każdy na własny rachunek; pomaga to znakomicie do uważnego słuchania przemówień. Przy naszych zwykłych odczytach, siedząc na krzesłach, ustawionych w rzędy, po godzinie, dwóch najwyżej, jest się zmęczonym i znudzonym, nawet przy najciekawszym temacie. Tu, od 7-ej (zresztą przemówienia zaczęły się dopiero o pół godziny później) prawie do 12-ej — uwaga nie osłabła.

W pauzach — rozmowa, wzajemne zaznajamianie się: członkowie „Masarykowej Akademii Pracy“, organizacji, zarządzającej Zjazd, wszyscy przyszli się przedstawić polkom. Dodano nam nawet do towarzystwa dwie panie, mówiące po francusku, co, nawiasem mówiąc, było zbyteczne, gdyż już po paru dniach ucho tak się oswoiło z brzmieniem czeskiego języka, że uważnie słuchając, wszystko się rozumie.

Na program składają się: przemówienie dra Spaczka (czytaj Szpaczka) — autora znanej u nas broszury o organizacji pracy domowej (w tłumaczeniu pani J. Szumlakowskiej z Warszawskiego Instytutu Organizacji Pracy), i kilku innych prelegentek i prelegentów; są to przeważnie skróty tego, co będzie mówione nazajutrz, na ogólnym, rannym posiedzeniu; treści więc nie będą powtarzała. Na zakończenie — obrazy świetlne: rozmaite najnowsze przyrządy do prasowania, przeważnie, a raczej wyłącznie amerykańskie. Wogóle jest tu wyraźny prąd do naśladowania Ameryki, na szczęście, raczej teoretyczny, gdyż zwiedzając szkoły, nigdzie tych amerykańskich maszyn nie widziałam. Po nich — widoki dzikich preryj amerykańskich, porośniętych tylko kolczastymi kaktusami, i tychże preryj, przemienionych pracą ludzką w kwitnące plantacje pożytecznych roślin. Taka sobie lekcja pogładowa — może w nieco naiwnej formie podana, lecz przekonywująca.

Następnego dnia o 9-ej rano — Zjazd właściwy. Sala w domu „Zemledelske Osvety“ przepełniona. Polki są uprzejmie traktowane, jako mili goście. Przewodniczy zjazdowi dr. Spacek, który zresztą po zagajeniu władzę swą przelewa na p. R. Pelantową, redaktorkę miesięcznika „U'spora zdravi, casu, penez u domacnosti“ (Oszczędność zdrowia, czasu i pieniędzy w gospodarstwie domowym). Nie widziałam równie umiejętnie, a uprzejmie prowadzonego zebrania kobiecego. Po każdym przemówieniu — parę słów podziękowań dla mówcy i krótkie, czasem pełne humoru, streszczenie powiedzianego, ani chwili straconej; w celu nieprzeciągania zbytnio dyskusji, odłożono ją wogóle na koniec, i jako rezultat, dyskusji, ściśle biorąc, nie było wcale. Zapisani do głosu mówili na nowe, lub te same tematy, ale nie doszło wcale do długiej, a niepotrzebnej, nic nigdy nie wyjaśniającej, nikogo nie przekonywującej, a dającej jedynie pole do wielomówstwa — wymiany zdań, interesującej tylko samych mówców.

Mówca, dziękując czechosłowackim kobietom za ich liczny i chętny udział w pracach Zjazdu, zwraca się tak do obecnych, jak i do tych, które przybyć nie mogły, a myślą były na zjeździe, z wezwaniem stosowania hasła, pod którym zjazd był zwołany: — hasła „oszczędności“ w swoich rodzinach i swoich gospodarstwach. Program Zjazdu mówi głównie o oszczędności w gospodarstwie; jest to ściśle związane z oszczędzeniem czasu w wychowaniu, w nauczaniu, w usuwaniu przeszkód do ustalenia potęgi państwa.

To, co mamy usłyszeć dzisiaj, jest rezultatem pracy niewielkiego grona pracownic i pracowników, oddanych myśli o dobrze społecznem; do dalszej pracy w tym kierunku wzywa mówca wszystkich obecnych (głównie — obecne) i nieobecnych w imię coraz to potężniejszego rozwoju odrodzonej czeskiej ojczyzny.

Następne przemówienie pani Kużeny Cernej, całe jest poświęcone sprawie robienia zakupów domowych. Ani słowa nigdzie o tem, aby te zakupy miały być powierzane służbie domowej. Szanowna prelegentka zachęca przedewszystkiem do kupowania wszystkiego w większych ilościach — w sezonie, kiedy dany artykuł jest tani, i do umiejętnego przechowywania go na miesiące, gdy zdrożeje. Jako przykład podaje jaja: — kupione wiosną, gdy kosztują po 50 halerzy, przechowane na zimę, gdy zdrożeją do 1 kc. — na czterech kopach dadzą już poważną oszczędność 120 kc. Drugim nakazem jest kupowanie tylko krajowych towarów i wyrobów. Tutaj wlicza pani Cerne wszystkie artykuły, jakie są w Czechach wyrabiane, od najpotrzebniejszych żywnościowych, poprzez ubraniowe, meblowe — do luksusowych, jak: perfumy, drogie kamienie, kryształy i porcelana. Jeśli każdy czech kupi dziennie tylko za dwa halerze (około pół grosza) wyrobów obcych, wyniesie to już około 100.000 kc.; miesięcznie 3.000.000 kc., a rocznie 36.000.000 kc. Wydatek 1 korony dziennie wyniesie zawrotne sumy, równające się nieomal całorocznemu budżetowi państwa! Jeśli pozwoliłam sobie zatrzymać się na tych cyfrach, to dlatego głównie, że są one niesłychanie pouczające dla nas, Polaków, tak skłonnych do cenienia i używania jedynie zagranicznych wyrobów. Nakoniec odradza prelegentka kupowanie wszelkich nowalijek, jako rzeczy luksusowych, których podawanie tylko próżność nam dyktuje, twierdząc słusznie, że te same rzeczy możemy spożyć w sezonie, wydając na nie o wiele mniej pieniędzy. Kobiety, przez których ręce przechodzi więcej, niż połowa zarobków ich mężów, trzymają w tych rękach nie tylko zdrowie, siły, wychowanie i przyszłość dzieci swoich: w ich rękach głównie leży rozwój sił gospodarczych narodu, doprowadzenie go do bogactwa i potęgi. Nawołuje więc te kobiety z czystymi sercami i otwartymi głowami do pracy w imię powszechnego odrodzenia narodu.

Iwa Smakalowa mówi o zakupach artykułów żywnościowych z punktu widzenia higieny. Przedewszystkiem więc o tem, że artykuły spożywcze nie są chronione od kurzu i much, że pieczywo, zanim dojdzie do rąk spożywcy — przechodzi przez dziesiątki rąk mniej lub więcej brudnych. O tem, jak to ta sama ręka, która kraje nam ser lub szynkę — zaraz odlicza brudne pieniądze; jak przy zamiataniu sklepu kurz z podłogi osiada na ciastkach i bakaljach, które potem spożywają nasze dzieci. Więc dalej jaknajsurowsze stosowanie środków ochronnych: nakrywanie towarów od kurzu, pakowa-

nie pieczywa wprost z pieca w torebki, mycie artykułów spożywczych w sterylizowanej wodzie i t. p. pia desideria, nieraz i u nas wygłaszane. Handel mlekiem jest prawnie ustalony: mleko nie może mieć mniej, niż 3,2% tłuszczu, śmietana i śmietanka — poniżej 8% — lecz nie jest zabroniona sprzedaż mleka w składach jarzyn, nafty i t. p., i nie wiadomo nigdy, czy mleko pochodzi od zdrowych krów i czy je sprzedają zdrowi ludzie. Dobra jest uwaga o tem, jak po zrobieniu zakupów przenosi się je do domu. Bułeczki leżą nieraz wprost na kartoflach, przekrajany bochenek chleba — na krzaczku nieopłókaney jeszcze sałaty i t. p. Ile takich uwag — tyle wskazówek, jak robić nie należy.

(d. c. n.)

Pani Elżbieta.



## SERWETY I OBRUSIKI

Niedawno jeszcze zdobiono stół, nakryty „od gości“, misternie składanemi serwetami. Przy talerzach widzieliśmy łabędzie, łodzie, kwiaty, infuły etc. Biesiadnicy podziwiali artyzm i pomysłowość tych adamszkowych dzieł sztuki, co im nie przeszkadzało bez skrupułów obalać je i najzwyczajniej kłaść na kolanach, zawiązywać pod brodą, lub przypinać na pierśiach. Ówczesne serwety były wielkie, jak małe obrusiki, czysto lniane, adamszkowe w najwykwintniejszych gatunkach—nie uznawano „ersatzów“. Dziś, w czasach prostoty i oszczędności, do których dąży podobno moda i życie, serwetki są małe, kwadratowe, miękkie. Kładzie się je koło talerzy, złożone na pół, albo na rogi, byle jak najmniej miejsca zajęły na stole. Niepokalana biel ustąpiła pierwszeństwa kremowym, liljowym, różowym, żółtym, niebieskim i innym kolorom, a gęste lniane, cieniutkie adamszki—bawełnianym wyrobom, między którymi batysty zajmują niepoślednie miejsce. Chociaż mniejszych rozmiarów, dzisiejsze serwetki są bardziej wypracowane, niż dawniejsze; ozdobione mereżkami, haftami, wstawkami, często obszyte koronką klockową, lub brzeżkiem szedelkowym—niepodobne są wcale do dawnych, poważnych serwet. Usiadłszy do stołu, kładziemy na kolanach serwetkę, rozłożoną w połowie, lub w trzeciej części. W dobrze prowadzonych domach starają się obecnie, aby serwetki, ładnie uprasowane, były miękkie i nieśliskie, żeby nie zsuwały się z kolan przy każdym poruszeniu, a tem samem nie narażały co chwila sąsiada na schylenie się w celu ich podnoszenia. Dobre uprasowanie serwet nie jest tak łatwe, jakby się zdawało, trzeba bowiem umieć nadać właściwą sztywność tym gałgankom, przeznaczonym do

delikatnego obcierania ust. Będąc zaproszoną do obcego domu, nie należy podczas biesiady wycierać serwetką talerza, szklanki, kieliszka, tak jakbyśmy wątpili o ich czystości. Lepiej narazić się na przykrość jedzenia i picia w takich podejrzanym naczyniach, niż zrobić niegrzeczność gospodyni, starającej się usilnie o serdeczne ugoszczenie zaproszonych osób. Wstając od stołu, kładziemy serwetkę lekko zgniecioną, nie składając jej pod żadnym pozorem podług znaków, tak jakbyśmy sądzili, że powtórnie może być podana. Służący, obnoszący półmisek, powinien trzymać go na złożonej we czworo dużej serwecie lub obrusiku, który można zastąpić rękawiczką płócienną, podszytą multonem.

Pod niektóre potrawy, jak ryby na zimno (majonez, galareta, etc.), jajka na miękko, kartofle w mundurach, szparagi, lody, etc. wykłada się półmisek serwetką. Zamiast niej można użyć kwadratowych płóciennych serwetek haftowanych, podszytych flanelą, obrzeżonych koronką klockową. Tak rozpowszechnionych bibułkowych serwetek nie używa się nigdy przy domowych przyjęciach; znośne są jedynie na wycieczkach, piknikach etc. Unikajmy powtórnego podawania raz użytych serwet, choćby nam się najrzysciejsze zdawały, również nie można przekładać ich na drugą stronę. Prawdopodobnie z chęci okazania niedopuszczalności takiej oszczędności powstał zwyczaj zgniatania serwet przy wstawaniu od stołu. Zmięty—samo odprasowanie nie przywróci nawet pozoru świeżości i nie wygładzi załamek. Przy nakrywaniu stołu moda każe kłaść na samym środku obrusa okrągłą lub owalną serwetę, pięknie ażurowo haftowaną. Zdobią też bardzo stół okrągłe maleńkie serwetki z białej organdy, barwnym wianuszkiem kwiatów z angielskiej włóczki otoczone, które, położone przy każdym nakryciu pod szklanką lub kieliszkiem, robią zdaleka wrażenie bajecznie kolorowych girlandek kwiatowych.

J. S.

### INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA Dr. J. Świtalskiej.

#### DZIAŁY:

- 1) **Chirurgiczny** — wszelkie zabiegi chirurgiczne z dziedziny plastyki kosmetycznej: a) operacje plastyczne twarzy, b) usuwanie tłuszczu z jamy brzusznej, c) poprawianie kształtu biustu, d) wszelkich deformacji kończyn, e) usuwanie żyłaków i t. d.
  - 2) **Wewnętrzny** — wskazówki ogólnohigieniczne, jak należy żyć, odżywiać się i t. d., żeby zachować zdrowie i młodość.
  - 3) **Kobiece**: — a) choroby kobiece b) niedomagania organów płciowych kobiecych.
  - 4) **Skórny**: — leczenie włosów, wad cery i t. d.
  - 5) **Kosmetyczny**: — a) wskazówki pielęgnacji twarzy, włosów i poszczególnych części ciała, b) zabiegi kosmetyczne (masaże, maski i t. d.).
  - 6) **Ćwiczenia gimnastyczne**: — dla utrzymania zdrowia, harmonji ruchów, smukłej linii i t. d., prowadzi p. Tańska Marja pod kierunkiem lekarza.
  - 7) **Gimnastyka lecznicza** (p. Tańska Marja pod kierunkiem lekarza). — a) przy obstrukcji, b) złej przemianie materji, c) otłuszczeniu i t. d.
  - 8) **Światło-lecznictwo**: — usuwanie brodawek, włosów, leczenie zapomocą światła: odmrożeń, piegów i t. d.
  - 9) **Laboratorium higieniczno-kosmetyczne** — podług przepisu Dr. J. Świtalskiej: — kremy, pudry, mydła i t. d.
- Sekretariat Instytutu: — Krucza 31 m. 3, tel. 102-77  
od godz. 5 — 7.



### CZESKA ZUPA „POLEWKA“

Upredzam czytelniczki „Bluszczu“, iż widząc, z czego się tę zupę przyrządza, nie miałam do niej najmniejszego zaufania i dopiero po spróbowaniu (było to w szkole kucharstwa) przekonałam się, że jest bardzo smaczna, posilna i orzeźwiająca i może z powodzeniem wzbogacić jadłospisy dni postnych, lub kuchni jarskich. Pół litra zsiadłego mleka rozbić trzepaczką, aż się zrobi zupełnie gładkie, zagotować. Drugie pół litra mleka słodkiego zagotować oddzielnie. Łyżkę mąki zasmażyć na biało z łyżką dobrego masła. Złączyć oba mleka i zasmażkę (mleko słodkie powinno być ciepłe jeszcze), zagotować razem z łyżeczką utłuczonego kminku, osolić do smaku. Oddzielnie ugotować kilka kartofelków na parze, pokrajać w drobną kostkę, włożyć do wazy, zalać zupą, zaprawić to wszystkim paroma łyżkami kwaśnej śmietany, lub paroma surowymi żółtkami.

### CZESKI BEFSZTYK Z RYŻEM

Mało ma wspólnego z tem, cośmy przywykli nazywać befsztykiem, jest jednak dobrą odmianą mięsnych dań z siekanego mięsa, tak pożądanym wszędzie, gdzie rodzina jest liczna. Pół kilo miękkiej wołowiny i tyleż wieprzowiny usiekać razem, lub przepuścić przez maszynkę. Piętnaście deka świeżej słoniny pokrajać w drobną kostkę i przesmażyć, nie rumieniąc, z pięcioma średnimi cebulkami, wymieszać z mięsem. Dziesięć deka dobrego ryżu sparzyć wrzątkiem, potrzymać w nim dwie minuty, odlać. Surowy ten ryż wymieszać z mięsem, posolić do smaku, popieprzyć trochę. Uformować z tego piętnaście do osiemnastu okrągłych befsztyków, utarzać je w mące po połowie z tartą bułeczką. Zrumienić z obu stron w obfitem maśle, szmalcu, lub fryturze. Przełożyć do płaskiego rondla, aby jeden leżał obok drugiego, polać tłuszczem, przykryć pokrywą i dusić wolno na brzegu blachy około dwudziestu minut. Ryż w tłuszczu mięsie doskonale dojdzie i da specjalny smak mięsu. Do tego podać kartofle, ugotowane na parze, i zieloną sałatę z oliwą i octem, lub cytryną.

### GALAREPKA

Młoda galarepkę obrać ze skórki i nie krajać jej nożem, tylko uszatkować jaknajcieniej na szatkownicy, używanej do kapusty lub ogórków. Na pół kilo galarepki rozpuścić w rondlu łyżkę masła, włożyć na to jarzynkę i dusić na wolnym ogniu, często potrząsając rondelkiem, aby do dna nie przywarło. Gdy miękka (a młoda prędko się gotuje), zaprawić ją łyżeczką cukru, łyżką mąki i szklanką mleka. Posolić do smaku i zagotować już jeden raz tylko.

### KROKIETKI Z RYŻU

Dziesięć deka ryżu ugotować na mleku na gęstą kaszę, wsypać dwie łyżki cukru, kilka utartych migdałów gorzkich, garstkę rodzynek, skórkę otartą z pół cytryny, dodać jedno żółtko, wyłożyć na stolnicę, posypaną tartą bułeczką, wyrobić dobrze rękami. Uformować długi wałek, pokrajać go na szesnaście równych części. Formować zgrabne krokietki w kształcie gruszek: zamiast szypułki wtykać goździk, lub mały kawałek cynamonu; z drugiej strony zrobić wgłębienie i wsunąć rodzynek. Usmażyć na obficie rozpuszczonym szmalcu i posypać na półmisku cukrem, utłuczonym z wanilią. Białko pozostałe ubić na sztywną pianę, zmieszać z łyżką cukru z wanilią i z łyżką jakiegokolwiek owocowej marmelady, lub konfitur; ubijając dalej, lub ucierać drewnianą łyżką, aż się zrobi gładki kremik. Kremik ten ułożyć w piramidkę pośrodku półmiska, naokoło obłożyć krokietkami i podawać.

### KNEDELKI DELIKATNE

Dwie bułki warszawianki pokrajać w drobną kostkę, skropić nieco topionym masłem, wstawić do pieca, zrumienić mocno i ususzyć zupełnie. Dwie drugie bułeczki ususzyć i utłuc, lub utrzeć na tarce, jak zwykłą bułeczkę tartą (można wziąć zamiast tego odpowiednią ilość tartej bułki, 8 deka). Dwadzieścia deka słoninki (najlepiej wędzonej) pokrajać w drobną kostkę i wytopić. Skwareczki ze słoniny i połowę wytopionego tłuszczu dodać do grzaneczek, wbić w to trzy żółtka, dodać tartą bułeczkę, wymieszać doskonale, osolić do smaku. Kto lubi, może dodać trochę gałki muszkatołowej, lub majeranku. Białka ubić na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie z masą. Mieć przygotowany osolony wrzątek. Kłască nań łyżką, każdy raz maczaną w wodzie, dowolnego rozmiaru kluski. Przykryć rondel pokrywą. Gdy knedle wypłyną na wierzch, są gotowe. Wybrać je durszlakową łyżką na półmisek, polać resztą wytopionej słoninki i gorące podać na stół.

### LIKIER Z CZEREŚNI

Białe, różowe, lub czerwone czereśnie mogą być na to użyte—zależnie od ich koloru otrzymamy mniej, lub więcej zabarwiony likier.

Dwa kilo czereśni obmytych, osuszonych na sicie (niedrelowanych), włożyć do gąsiora i zalać półtora litrem spirytusu. Zakorkować, korek zalać parafiną, postawić na słonecznym oknie na trzy tygodnie, często potrząsając gąsiosem. Kilo cukru zagotować z pół litrem wody, dodać ćwierć kilo syropu kartoflanego (konieczne dla otrzymania gęstego likieru). Zlać spirytus z owocu, zmieszać z gorącym syropem, przykryć miękkim płótnem, aby aromat i spirytus nie ulatniały się, a para nie opadła. Przebrać zimny do innego gąsiora. Na owoce nasypać pół kilo cukru, zakorkować, postawić na słońcu, codziennie obracać i potrząsać. Gdy się cały cukier rozpuści, przebrać płyn ten do uprzednio przygotowanego i porozlewać do butelek. Zwykle jest tak czysty, że nie potrzebuje filtrowania. Pozostały owoc można nalać jeszcze raz syropem i używać jako dodatek do pieczystego.

## DOBRE RADY

Świeżo zerwane o rosie kwiaty włożyć w obfitą wodę tak, aby końcem łodyg nie dotykały dna wazonu. Wsypywać codzień po małej szczypcie saletry potasowej. Tym sposobem można utrzymać kwiaty przez dwa tygodnie w świeżości.

\* \* \*

Niebieskie i fioletowe kwiaty farbuje się na pyszny zielony kolor, jeżeli przez kilka minut wystawimy je na działanie pary amoniaku. Żeby wywołać to zjawisko, trzeba wsadzić kwiat w szyjkę szklanego lejka od strony wewnętrznej tak, żeby pomiędzy nim a brzegiem lejka pozostało conajmniej dwa centymetry wolne. Nalać na talerz kilka kropel sialmianku i postawić na nim lejek, szyjką do góry. Po kilku minutach kwiaty zabarwiają się w sposób następujący: niebieskie, fioletowe i jasno-ponsowe staną się zielonemi. Ciemno-ponsowe barwią się na czarnobiałe, na siarkowo-żółty kolor oryginalnie zmieniają się kwiaty różnokolorowe, np. Fuchsja (ułanka) o białym kielichu i czerwonej koronie, która pod działaniem pary amoniaku dostaje żółtego kielicha i zielonej, lub niebieskiej korony.

## KORESPONDENCJE

Dla Prenumeratorki z Łęczycy. Jasne pantofelki trzeba umyć letniem mlekiem, gdy wyschną—natrzeć pomadką bezbarwną i wygłansować flanelową ściereczką; albo napisać do profesora

## „ZIMNE NAPOJE“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW,  
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## „Jak kupuje dobra gospodyni“

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO  
ROBIENIA ZAKUPÓW

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Admizistracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.